Dziś w numerze: Z. WOJCIECHOWSKI **Klucz do gniazdeczka** ● J. WILMAŃSKI **Miasto na retkińskich polach** ● Z. FIJAS **„Przed ostatkami" chociaż po ostatkach** ● **Żuł żyletkę jak zwykły suchar...** ● **Na przykład technologia metali**

odgłosy

MIEJSKA ORGANIZACJA TURYSTYCZNO-KRAJOZNAWCZA W ŁODZI

9 (591)
2. III. 1969 r.
Cena 1.50 zł

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ROK XII

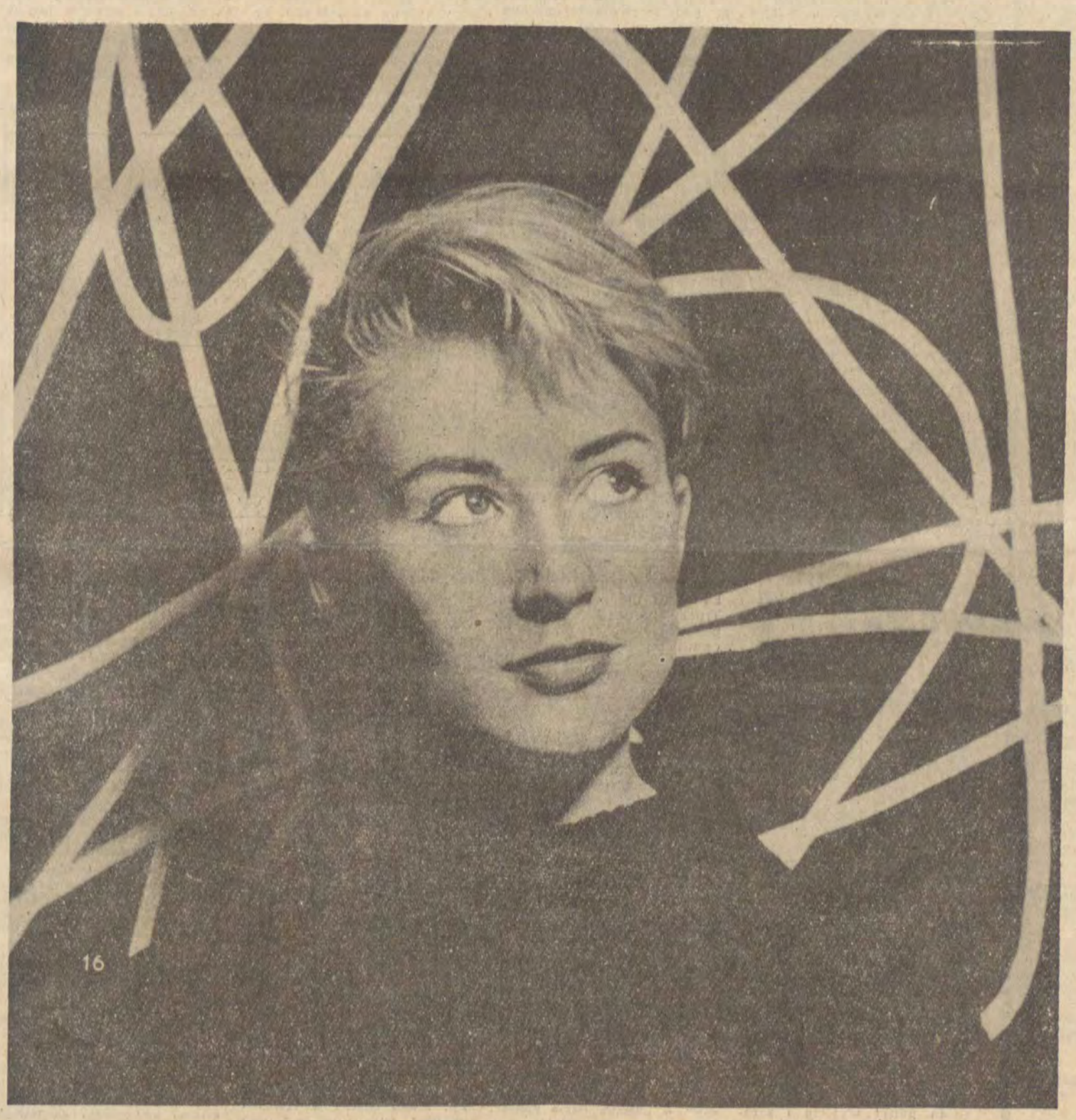

Fot. E. Hartwig

ANDRZEJ MAKOWIECKI

Bajka o polskim Hollywood

Mówi:

— Zrobię wszystko, żeby stąd prysnąć.

Młody, zdolny kandydat na reżysera. Absolwent szkoły filmowej. Łodzianin od czterech pokoleń. Inteligentny, układny, bynajmniej jeszcze nie zepsuty — ma przecież chwilę słabości: otwiera się nagle, obnaża, roztrząsa, jak to mu źle w tym robotniczym mieście.

... Nieobecni są bez racji. Trzeba być na miejscu. To miejsce jest w Warszawie. Jak będę siedział w Łodzi, to może się okazać, że te pieniądze, setki tysięcy złotych, które pochłonęła produkcja moich szkolnych etiud — zostały wpakowane w błoto. Może się okazać, w najlepszym wypadku, że mój rozdmuchiwany na uczelni talent zostanie raz na zawsze przykrojony do potrzeb Semafora albo Oświatówki. Fabuła pozostanie snem. Ale sny zawsze mają to do siebie, że jeśli piękne, to człowiek pragnie je realizować. Więc muszą pryskać...

1.

Więc musi pryskać. Żeby być na miejscu. Przez dwa, trzy lata pomieszka kątem u znajomych, może w sublokatorskim pokoju na przedmieściu, może będzie dojeżdżał pociągami z Pruszkowa albo z Grodziska: przykre to, męczące, ale — stolica. Przyłoży rękę do pulsu. Dzień w dzień wędrówka starym, wytartym szlakiem — kawa w Związku Literatów, piwo w Europejskim, runda po Nowym Świecie, drobna wódka przed snem — w Bristolu i w Spatifie. Zawsze tam, gdzie można spotkać bonzów, literatów, reżyserów, szefów produkcji; aktorów, ustawionych już mocno kolegów, gdzie można pogadać, pokombinować, wypatrzyć lukę w ogólnym tłoku i — uderzyć: przyklepać się do scenariusza, wedrzeć kuchennymi drzwiami na plan.

Będzie czekał na zameldowanie.

Potem — na mieszkanie w spółdzielni. Wygra albo przegra.

O takich jak on, gościach z prowincji, prących z uporem do Warszawy, prowincjonalna, nie tylko łódzka: wrocławska, poznańska, lubelska, krakowska, katowicka plotka ględzi w sposób stereotypowy: patetycznie — że porzucili ziemię ojców, ironicznie — że dali się złapać na stołeczny blichtr, z przekąsem i nadzieją — że na pewno przepadną w mnogiej rzeszy filmowych cwaniaków, ze współczuciem — że

Dalszy ciąg na str. 3

FELIKS BĄBOL

PILNE PROBLEMY PRZEMYSŁU LEKKIEGO

Okres przedzjazdowy w środowisku inteligencji technicznej, działającej w przemyśle lekkim, przyniósł poważny dorobek propozycji, wniosków i koncepcji. Można powiedzieć, że treści tej dyskusji ujętej organizacyjnie przez Stowarzyszenie Włókienników Polskich i nawiązującej do znanych stwierdzeń na temat niedostatków przemysłu lekkiego — realizowane są obecnie z całą konsekwencją i pełnym poczuciem odpowiedzialności za słowa.

Tak więc działa już specjalna komisja złożona z fachowców-włókienników, która ma przygotować społeczną opinię opracowanego przez resort programu rekonstrukcji przemysłu lekkiego. Na jej czele stanął dziekan Wydziału Włókienniczego Politechniki Łódzkiej prof. Juliusz Zakrzewski. Ta społeczna opinia o niedalekiej przyszłości przemysłu lekkiego będzie cenną konfrontacją poglądów oficjalnych reprezentowanych przez ministerstwo z poglądami nie-zawodowców, ludzi nie związanych ani etatowo ani służbowo z resortem.

Komisja obejmie swym zasięgiem przemysł lekki całego kraju, uzupełniając w ten sposób rezultaty pracy kilku kolejnych egzekutyw Komitetu Łódzkiego PZPR, które za cel swej penetracji obrały przysz-

Dalszy ciąg na str. 4

ŚWIATA

Zainteresowanie, zapowiedzianym na 20 lutego w Warszawie, kolejnym — już 135 — spotkaniem oficjalnych przedstawicieli Chińskiej Republiki Ludowej i Stanów Zjednoczonych było wyjątkowo duże. Nixon, w swoim inaugurującym prezydenturę przemówieniu, dał bowiem do zrozumienia, że gotów jest zapoczątkować bardziej elastyczną politykę wobec ChRL. Wprawdzie nieco później właściwie zaprzeczył temu — jednak z lutowym spotkaniem wiązano określone nadzieje. Tym bardziej, że z Pekinu napływały informacje, iż ChRL gotowa jest dyskutować o wielu problemach, a w tym także „o pięciu zasadach pokojowego współistnienia".

Termin kolejnych rozmów w Warszawie — z inicjatywy chińskiej — ustalono jeszcze w listopadzie. Tuż przed wyznaczoną datą rząd ChRL zakomunikował jednak, że do spotkania nie dojdzie. Podano przy tym motywację — z uwagi na antychińską atmosferę, spowodowaną pozostaniem na Zachodzie byłego dyplomaty chińskiego w Holandii.

Departament Stanu USA zareagował na to oświadczeniem, wyrażającym ubolewanie, ale i podkreślającym, że w dalszym ciągu gotów jest podjąć dwustronne rozmowy. Kontaktu będzie się poszukiwać za pośrednictwem Hongkongu lub innymi kanałami.

Wszystko to może nie zwróciłoby większej uwagi, gdyby nie niedyskrecje prasy amerykańskiej, która doniosła, iż strona chińska chce zmienić miejsce spotkań, ponieważ „z Warszawy nie jest zadowolona".

Trudno w tej sytuacji odrzucić myśl, że jest to zasadniczy powód odroczenia rozmów.

Tylko dlaczego ChRL ma być niezadowolona z Warszawy? Przecież dotychczas nie podnoszono tego, a warunki do spotkań były jak najlepsze. Wkrótce wyjdzie z pewnością przysłowiowe szydło z worka, ale już dziś można przewidzieć, że sprawa ta ma istotny aspekt polityczny.

Również inne oświadczenie z ub. tygodnia zasługuje na uwagę. Mam tu na myśli decyzję rządu francuskiego o nieuczestniczeniu przedstawiciela tego kraju w pracach Unii Zachodnioeuropejskiej do czasu, kiedy nie będą tam przestrzegane obowiązujące zasady proceduralne. Chodzi zwłaszcza o zasadę jednomyślności.

Rzecznik rządu wyjaśnił, że krok Francji podyktowany jest obawą, aby na przykład sprawa przystąpienia W. Brytanii do Europejskiej Wspólnoty Gospodarczej nie była rozstrzygnięta w ramach UZE.

Decyzja Francji właściwie paraliżuje działalność Unii, ponieważ zwołanie Rady UZE wymaga jednomyślności. Tak więc pojawiły się nowe symptomy rozkładu zachodniej Europy. I to w czasie bezpośrednio poprzedzającym europejską podróż nowego prezydenta Stanów Zjednoczonych.

Zjawiskiem charakterystycznym dla zachodniej Europy jest raz po raz to ochładzanie, a nawet zupełne wyziębianie stosunków między niektórymi partnerami, to znów znaczne ich ocieplanie.

Ostatnio na przykład wyraźnie zarysowuje się oś Londyn—Bonn. Przyczyniły się do tego bońskie rozmowy Wilsona z Kiesingerem, obietnice brytyjskiego poparcia dla nuklearnych marzeń NRF oraz skandaliczne wręcz poparcie ze strony premiera W. Brytanii dla projektu przeprowadzenia wyborów prezydenta zachodnioniemieckiego państwa w Berlinie.

Epilog tej ostatniej sprawy rozegrał się w brytyjskim parlamencie — Izbie Gmin, gdzie Wilson stał się obiektem ostrego ataku ze strony części posłów konserwatywnych, liberalnych, ale także labourzystowskich. Grupa ok. 30 deputowanych zgłosiła wniosek, odzwierciedlający opinie społeczeństwa, aby wybory odbyły się w Bonn, a nie zachodnim Berlinie.

Skoro już mowa o tych wyborach — odnotujmy, że przeciwko decyzji przewodniczącego Bundestagu wypowiedziało się — jak wynika z ankiet — 72 proc. mieszkańców zachodniego Berlina, którzy chcą żyć w spokoju i nie godzą się, aby ich miasto ciągle miało być „miastem frontowym". Prowokacyjny charakter decyzji jest tak oczywisty, a naruszenie postanowień między narodowych tak jawne, że co do tego nie może mieć wątpliwości również 2-milionowa ludność Berlina.

Dlaczego więc Wilson poparł prowokację?

Ponieważ w zamian NRF obiecuje mu wsparcie w zabiegach W. Brytanii o przystąpienie do EWG.

Ale właśnie, aby tak się nie stało Francja powzięła decyzję o nieuczestniczeniu w posiedzeniach UZE. Krąg został więc zamknięty.

Jak widać — nie ma jedności interesów wśród atlantyckich partnerów. Ostatnie dni dowiodły tego ponownie.

Na zakończenie trzeba koniecznie wspomnieć o oficjalnej wizycie min. S. Jędrychowskiego w Czechosłowacji. Ta pierwsza podróż od wydarzeń sierpniowych oraz ustanowienia federacji polskiego ministra i pożyteczne rozmowy w Pradze i Bratysławie — zasługują na uwagę. Komunikat Końcowy głosi, że przedmiotem rozmów były nie tylko stosunki bilateralne i w socjalistycznej wspólnocie, ale także sytuacja międzynarodowa. Ministrowie stwierdzili, że przeszkodę dla zapewnienia Europie trwałego bezpieczeństwa stwarza odwetowy kurs polityki NRF, czego nowym przykładem zamiar dokonania wyboru prezydenta NRF na terenie zachodniego Berlina. Ministrowie dali wyraz gotowości współdziałania w kierunku wprowadzenia w życie wniosków z konferencji w Karlovych Varach. Poparli także paryskie rozmowy w sprawie Wietnamu.

Prez. Svoboda i min. Marko zaproszeni zostali do Polski.

W. SŁAWSKI

Pierścionek z brylantem

Informacje prasowe są bardzo skąpe, ale na ich podstawie, można domyślić się jaki był przebieg wydarzenia. Jubiler w Limie (stolica Peru), p. Manuel Perleche, pokazał klientowi wydobyty z gablotki pierścionek z brylantem, w cenie 1000 dolarów. Klient poprosił o coś tańszego. Kupiec wyjął więc z gablotki inny pierścionek (również z brylantem), a ten tysiącdolarowy położył na ladzie, na kawałku czarnego aksamitu. Klient obejrzał drugi pierścionek i stwierdził pewne wady brylantu. Perleche dla sprawdzenia pretensji klienta, postanowił przyjrzeć się brylantowi przez szkło powiększające, w rodzaju monokla, jakim często posługują się jubilerzy. Przy użyciu takiego szkła trzeba zmrużyć drugie oko. Traci się zatem z pola widzenia wszystko, z wyjątkiem przedmiotu oglądanego w powiększeniu. Jubiler zdawał sobie oczywiście sprawę, że przez chwilę — aż nadto wystarczającą, dla dokonania dziecinnie łatwej kradzieży — nie będzie widział leżącego na ladzie pierścionka. Jedyną rozsądną czynnością w tej sytuacji było włożenie tego pierścionka z powrotem do gabloty. Ale tego właśnie Perleche nie zrobił. Spiesząc się, wziął pierścionek do ust — tak jak krawcy i krawcowe, szpilki w czasie przymiarki — i trzymał go między zębami. Jak to się stało, nie wiem, ale w kilka, czy kilkanaście sekund później, jubiler połknął pierścionek. Zagraniczna prasa doniosła, że w stanie ciężkim z silnymi bólami i wysoką gorączką, przewieziono go do szpitala, celem przeprowadzenia operacji. Perleche stał się ofiarą **pośpiechu**, w jakim dokonywał zwykłej, banalnej transakcji handlowej.

W twórczości naukowej i publicystycznej pośpiech z reguły psuje efekty. W ostatnio wydanych szkicach, poświęconych kwestii narodowej, widać ujemne skutki wynikające z pośpiechu autora. Pisze on np.: „Na pewno można mówić o narodzie... widząc historycznie konkretną wspólnotę terytorialną..." Otóż, chyba nie **„terytorialną" lecz „wspólnotę ludzi"**, gdyż narody przecież składają się z osób, a nie z terytoriów. Sam zresztą autor, dwadzieścia stron dalej, używa prawidłowo terminu „wspólnota terytorialna" stwierdzając słusznie, iż **„ziemie** (podkreślenie moje — Em.) polskie poszczególnych zaborów... pozostały **wspólnotą terytorialną** (podkreślenie moje — Em.) „...Trudno również aprobować pogląd autora szkiców, iż „podstawowym czynnikiem integrującym naród są masy pracujące miast i wsi..." Masy pracujące nie integrują narodu one są po prostu narodem.

Pewien poważny i zasłużony tygodnik, wychodzący w Warszawie, zrobił swym warszawskim (a może również i innym) czytelnikom niespodziankę. Otrzymali jako bezpłatny dodatek do pisma, ośmiostronicowy „Informator usług województwa katowickiego". Skończyły się rozterki warszawiaków. Już teraz wiedzą, jak w Kłobucku zorganizować pranie i maglowanie bielizny, gdyż potrzebnych informacji udzielają w tym mieście przy ul. Długosza 4, lub telefonicznie pod numerem 272. Śmierć warszawiaka w Pszczynie przestała być tragedią, odkąd „Informator..." doniósł o „usługach pogrzebowych" oraz podał dokładny adres (ul. Mickiewicza 21) pod który stroskana rodzina winna skierować swe kroki.

Nie dopuszczam ani przez chwilę myśli, że redakcja chciała ze swych wiernych i lojalnych czytelników... zrobić balona. Artykuły zamieszczane w tygodniku są na poziomie. Redakcja cieszy się zasłużonym szacunkiem. Skąd więc te „usługi województwa katowickiego"? Chyba ktoś w pośpiechu podjął tę niefortunną decyzję.

Prasa nasza często uprawia anonimowość. Swego czasu dyskutowano, czy osoby skazane w pierwszej instancji, należy piętnować w prasie. Przeciw głosom żądającym publikowania nazwisk wysunięto szereg słusznych argumentów. Zwrócono uwagę, że zanim wyrok stanie się prawomocny, nie wolno z człowieka robić przestępcy.

W notatce prasowej o dorocznych nagrodach wydziału nauk medycznych Polskiej Akademii Nauk, podano między innymi, że laureatem został trzyosobowy zespół katedry biochemii Uniwersytetu Warszawskiego, ale nazwisk nagrodzonych nie ujawniono. Czy mamy tak wielce wybitnych prac naukowych, że aż nudno pisać o ich autorach? Chcemy przecież znać nazwiska naszych uczonych! I niechże oni mają tę satysfakcję, iż są znani nie tylko wąskiemu gronu fachowców.

A teraz porozmawiajmy z naszymi milusińskimi z pisma dla młodzieży. (Wolę w tym kontekście nie wymieniać jego pięknej i dziś już historycznej nazwy). A cio to Awa napisała? Awa pise stłaśne zecy: „W ten sposób telewidzowie, którzy później otworzyli telewizory, otrzymali syntezę poprzednich wywodów i już na zasadzie zorientowanych mogli się włączyć do dalszego śledzenia programu". Być może, że Awa pisze „na zasadzie zorientowanych" i że „włącza się do dalszego śledzenia", ale niestety wywody jej są dość odległe od tradycji literackich polskiej publicystyki. Przykro, że na takich wzorach kształci swą polszczyznę młode pokolenie.

Awa nie jest osamotniona. Jej kolega redakcyjny pisze podobnie: „Dobrze, bo zasiądę do pisania o filmie wypoczęty i dotleniony, źle — bo jest źle, kiedy nie ma ani jednego spoza monopolu faceta, który by pisał o filmie nie dlatego, że uchodzi za recenzenta, ale jak większość ludzi w kraju — chodzi do kina i myśli". Ileż skromności i wdzięku jest w tych słowach! Cóż za wytworny język i styl! I jak tu polemizować z takim „spoza monopolu facetem"?...

Em.

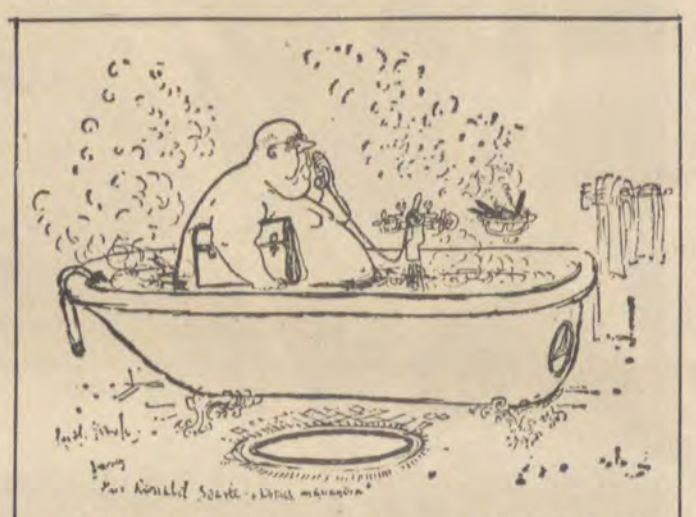

„Kąpiel managera" *rys. Ronald Searle*

LISTY DO REDAKCJI

„ŚWINIOBÓJCY NA BAGNACH"

Pismo „Odgłosy" zyskało popularność także i w jednej z wiosek kutnowskich. Nie było bowiem w ostatnich dniach osoby, która nie zetknęła się tam w jakiś sposób z tą gazetą.

Wszyscy niemal czytali, wszyscy dyskutowali i wszyscy mówiąc prawdę byli trochę rozgoryczeni i oburzeni na pana Ryszarda Binkowskiego, który w „Odgłosach" napisał sążnisty artykuł właśnie o Dąbrowicach kutnowskich.

Za punkt wyjścia i zarazem za świetny pretekst do głębokich wynurzeń o kulturze wsi kutnowskiej posłużył autorowi, znany wszystkim, fakt zabicia przez grupę mieszkańców kilku dzikich świnek na bagnach. Pan Binkowski wkładając przy tej okazji w usta mieszkańców niewybredne wyrażenia, przedstawił niby to ich własnym językiem Dąbrowice jako unikat ciemnogrodu i siedlisko opryszków i rzezimieszków. Dokonano przecież niebywałej masakry świń, czy stąd — wyciąga autor ostateczny wniosek — daleko do zabicia człowieka? Omijajcie przeto, można dopowiedzieć, tę miejscowość, strońcie od niej jak od przysłowiowej zarazy.

Tak. Nie należy negować, że autor dokonał niektórych trafnych ocen, ale wydaje się, że metoda potępienia wszystkiego i wszystkich, jaką obrał nie jest najlepszą. Trochę poróżnił ludzi — to prawda — ale czy zyskał na opinii lepszego publicysty?

St. Kwiatkowski
z Dąbrowic

*

Reportaż Ob. Binkowskiego o świniobójcach wspaniale napisany w obronie zwierząt, którym ludzie robią tyle krzywdy i znęcają się nad bezbronnym stworzeniem. Więcej takich reportaży, to nie będzie takiego bezprawia. Przydałby się reportaż w obronie psów i ptactwa, które też są przez ludzi głodzone i cierpią. W naszym piśmie reportaże pisane są na gorąco tak jak się często dzieje, bez fantazji życiowej.

Wasza stała czytelniczka
Jadwiga Spychalska

W SPRAWIE KLOSSA

Bardzo nas cieszy, Redaktorze, że podjął Pan na łamach „Odgłosów" — „Sprawę Hansa Klossa". Cieszy mnie osobiście to tym bardziej (i chyba znakomitą część ZMS-owskiej młodzieży Ziemi Łódzkiej), że pisał Pan po wypowiedziach takich panów jak: Toeplitz, Załuski, Terlecki czy Kałużyński i że nie przeląkł się Pan opinii prasy centralnej dot. „dyskusji narodowej o Hansie Klossie". W naszym odczuciu dyskusji bardzo potrzebnej, a którą wiele dzienników centralnych kwitowało literackim półuśmieszkiem. „Czy to naprawdę takie ważne? Przecież „Stawka większa niż życie" trzymała w napięciu telewidza, dawała rozrywkę, wręcz sensację — czy warto z pewnych problemów robić sprawę narodową?"

Otóż warto. Myślę nawet, że to jest obowiązek nas młodych, dla których potrzeba bohatera współczesnego jest sprawą niezwykle ważną i istotną.

Dla mnie to nie jest sprawa narodowa, Redaktorze, nie jestem przyzwyczajony do wielkich słów, określeń, stwierdzeń. Nie ja kształtuję opinię publiczną na łamach prasy — ja staram się Redaktorze — w kole ZMS, w zakładzie pracy, pomagać młodzieży w rozwiązywaniu wielu problemów a między innymi, wspólnie z nią odróżniać bohaterstwo od bohaterszczyzny.

Nie ma co ukrywać. „Stawka większa niż życie" pozostanie w młodych umysłach jako piękna, sensacyjna, wręcz fantastyczna przygoda.

Telewizyjny serial z przygodowej strony wywiązał się znakomicie, trafił do wyobraźni milionowych odbiorców. Ale czy nie sądzi Redaktor, że stawka wygrania tej rozrywki była zbyt wysoka?

Zastanawia mnie, czy można młodym ludziom, którzy stanowią potężną armię w naszym społeczeństwie, a którzy przebieg i fakty II wojny światowej znają tylko z podręczników i opowiadań, tworzyć i umieszczać „rodzimego świętego" w wątpliwych bardzo często filmowych realiach tamtego okresu?

A czy w ogóle warto było robić z kpt. Klossa bardziej świętego niż sam „Święty"?

Wydaje mi się, że właśnie dzięki swej arcywyczynowości postać kpt. Klossa straciła w oczach i umysłach, jeżeli i nie w sercach młodych odbiorców to, co chyba było rozsądnym zamierzeniem twórców: heroizm, bohaterstwo i ideę żołnierza polskiego, służącego swojej ojczyźnie w ciężkich latach faszystowskiej okupacji. Nie wiem Redaktorze czy dzięki „Stawce" córka moja będzie nosiła „wronę" na rękawie. Dziewczynki nie są bowiem zainteresowane militarnymi akcesoriami.

Wiem jednak o sprawach bardziej istotnych, których dowiedziałem się podczas wielu rozmów z młodymi ludźmi zrzeszonymi w Związku Młodzieży Socjalistycznej.

Członkowie Związku często dyskutowali na zebraniach kół ZMS w klubach, Wieczorowych Szkołach Aktywu ZMS — o walorach wychowawczych „Stawki większej niż życie".

Nasilenie tej dyskusji, o postawie kpt. Klossa, o modelu bohatera współczesnego, notowaliśmy szczególnie w okresie wybierania w naszym województwie Młodzieżowego Bohatera Roku.

I muszę Wam wyznać, że często kpt. Kloss „wychodził" z tych rozmów i konfrontacji z „opuszczoną przyłbicą". Jego bohaterstwo dla wielu członków organizacji było zbyt „filmowe", traktowane z „przymrużeniem oka", denerwujące w kontekście prawdziwego bohaterstwa, jakiego dostarczały tragiczne lata walki o wyzwolenie narodowe.

Padały nawet pytania: „Czy można z tego najtragiczniejszego dla Ojczyzny okresu robić przygodowo-sensacyjny serial deformujący prawdę historyczną"?

Bardzo to dobrze, że młodzież myśli krytycznie, że szczerze odczuwa swym młodym sercem, że nie przyjmuje z otwartymi ustami wszystkiego czego się jej dostarcza.

Ale co mają powiedzieć ci najmłodsi, którzy patrzyli w telewizyjny ekran jak w przysłowiowy obraz?

Młodzież wiele dyskutuje o postawach, życiu i czynach bohaterów, których zrodziła walka o niepodległość, o wyzwolenie narodowe i społeczne. Szuka bohaterów, których rodzi współczesne życie naszego kraju, sięga do tradycji ruchu robotniczego i młodzieżowego. Potrafi sama wyszukiwać walory wychowawcze, wybierać ulubione nazwiska, sylwetki, nieśmiało i w dużej skrytości stara się do równywać swym historycznym ulubieńcom. Często samemu mi się skrycie marzy, żeby tak kiedyś twórcy telewizyjnych serialów przypomnieli sobie o życiu i działalności Hanki Sawickiej, Janka Krasickiego czy „Małego Franka".

Przecież ich życie, to heroiczna, bohaterska przygoda. Najprawdziwsze bohaterstwo, które zrodził tragizm faszystowskiej okupacji, które zrodziło ich młode życie w śmiertelnej walce z hitlerowskim najeźdźcą.

Ci najmłodsi przecież wiedzą o tym bardzo niewiele.

Z młodzieżowym pozdrowieniem
Kier. Wydz. Propagandy
ZW ZMS w Łodzi
(Jerzy Witczak)

Bajka o polskim Hollywood

Dalszy ciąg ze str. 1

zrobili źle, bo tu, na miejscu, mieli większe pole do popisu, luz, życzliwość władz, mieszkanie pieniądze, szacunek, nowy roz budowujący się ośrodek telewizyjny, coś tam jeszcze...

Jest to oczywiście mowa — trawa.

Można mieć żal do pisarza czy muzyka, że zamienia Kraków albo Łódź na Warszawę.

Pisarz miał pod ręką swoje wydawnictwo, oddział związku twórczego, tygodnik literacki.

Muzyk — Filharmonię, Operę, Radio.

Zastanów się dobrze, czym dysponuje filmowiec i to nie w Krakowie, nie w Poznaniu i na Śląsku, a w Łodzi, o której ktoś dowcipny powiedział, że to polskie Hollywood.

2

Mamy w Łodzi sławną szkołę filmową. Mamy studio miniatur filmowych „Semafor" i Wytwórnię Filmow Oświatowych. Mamy katedrę filmologii przy Uniwersytecie, Zakłady Kinotechniczne, Wytwórnię Kopii Filmowych, Dubbing i Łodzki Oddział Stowarzyszenia Polskich Artystów Teatru i Filmu. To powinno łódzkiemu kandydatowi na reżysera wystarczyć. Ale zaraz... On chce robić filmy fabularne. On chce wedrzeć się na filmowy Parnas. Nie jakieś tam kreskowki i reportaze o ptaszkach — on chce robić psychologiczne dramaty, albo choćby komedie obyczajowe, z dobrym kasowym aktorem. Jemu potrzebne jest środowisko — platforma do wymiany poglądów i dyskusji. No więc — jest środowisko; w „Syrenie" „Honoratce", na Dworcu Fabrycznym, wieczorami w „Spatifie", — można nieraz spotkać znanych reżyserów i aktorów, wpływowych szefów produkcji i głośnych scenarzystów...

Czego jeszcze koledze brakuje?

Przecież masz bracie, na dodatek, o czym byśmy zapomnieli, największą w kraju Wytwórnię Filmów Fabularnych przy ulicy Łąkowej, o której tu i ówdzie przeczytać możesz entuzjastyczne wypowiedzi: rozrasta się, automatyzuje, modernizuje w blaskach pirotechnicznej tęczy, rok w rok wypuszcza w świat kilkanaście filmów na duży, a kilkadziesiąt na mały, telewizyjny ekran; tylko patrzeć, jak rozpocznie realizację ambitnych planów na taśmie siedemdziesięciomilimetrowej. Tu powstały przecież nasze supergiganty — „Faraon", „Popioły", „Pan Wołodyjowski", częściowo także „Lalka". Tu powstaną „Przygody kanoniera Dolasa", dalsze odcinki telewizyjnych przygód „Czterech pancernych", telewizyjna wersja Wołodyjowskiego, i jeszcze wiele, wiele innych, głośnych już teraz pozycji.

Przy tym stanie rzeczy — porównanie Łodzi do Hollywood wydaje się trafne.

Przy tym stanie rzeczy — kandydat na reżysera, narzekający na Łódź, czmychający do Warszawy, gdzie zjadą się chyba w najbliższym czasie wszyscy okryci filmową peleryną panowie (także z Wrocławia, Poznania, Lublina i Śląska) — wydaje się śmieszny, nierozważny, zdeprawowany. Fama złośliwa o takim krąży, że mu się całkiem przewróciło w głowie, że talentu mu braknie i dlatego musi szukać podpórki w stolicy.

A jednak...

3.

On chyba ma rację.

W Łodzi jest wiele instytucji filmowych. Ale każdy mądry operator, scenarzysta czy reżyser, mieszkający w tym mieście, oddałby je wszystkie razem za jeden zespół realizatorów filmowych.

W Łodzi jest największa w Polsce Wytwórnia Filmów Fabularnych.

Czym jest dla łódzkiego filmowca ta wytwórnia?

Mniej więcej tym, czym dla łódzkiego literata — łódzka Drukarnia Dziełowa.

W Drukarni Dziełowej wydaje się książki przysłane przez „PIW", „Iskry", „Pax" i jeszcze kilka innych wydawnictw centralnych.

W łódzkiej wytwórni filmowej realizuje się filmy zaakceptowane i skierowane do produkcji przez zjednoczone zespoły realizatorów filmowych, na które absolutny, niepodzielny monopol dzierży Warszawa.

W obu więc wypadkach droga do tych, niby łódzkich instytucji wiedzie przez stolicę.

Chcę się od razu zastrzec: nie mam nic przeciwko Warszawie. Śmieszne byłoby uderzać w ten żałośliwy, prowincjonalny dzwon, w który tłucze raz po raz cała pozawarszawska prasa: że wszystko, co najlepsze, musi być właśnie w stolicy. Ale zastanówmy się trzeźwo — czy ta centralizacja zespołów filmowych nie jest przypadkiem jednym z powodów, dla których nasza kinematografia przeżywa głęboki kryzys? Bo że jest powodem rozbijania aktorskich i filmowych środowisk na tzw. prowincji — o tym nie trzeba nikogo przekonywać.

4.

W zespołach nie wszystko grało. Były wykryte przez NIK, nadużycia. Niedociągnięcia, fałsze historyczne, błędy ideologiczne, niepotrzebne czy wręcz karygodne skrzyżowania z filmem zachodnioniemieckim w wyniku których powstały takie dzieła, jak „Osmy dzień tygodnia" i „Kiedy miłość była zbrodnią".

Postanowiono więc polski film przeorganizować.

Już się to stało.

Mamy pięć nowych zespołów: „Plan", „Wektor", „Nike", „Iluzjon", który zachował dawną nazwę i „Tor". Znowu wszystkie w Warszawie.

Toteż mamy prawo przypuszczać, że nowe kierownictwo zespołów będzie się wystrzegać takich grzechów jak fałsze historyczne, błędy ideologiczne i niepotrzebne, czy wręcz karygodne skrzyżowania z filmem zachodnioniemieckim. — Mamy prawo przypuszczać, że NIK nie wykryje już w zespołach nadużyć finansowych — nie mamy prawa sądzić, że poziom artystyczny filmu polskiego gwałtownie podskoczy. Bo i skąd. Zmienili się kierownicy artystyczni i literaccy w zespołach (zapewne są to ludzie uczciwi, wysoko kwalifikowani) — ale środowisko pozostało to samo, nie wzbogacone raczej o nową krew; dokładnie określone w swych artystycznych lotach, zastygłe od dawna w pewnej, dość wygodnej, chałturowej pozycji.

Ja się zgadzam, że Łapicki, nawet w swej najgorszej, granej gdzieś na marginesach wolnego czasu roli, będzie zawsze lepszy od aktora P. z Łodzi czy F. z Wrocławia. Ja się zgadzam, że najgorszy film Wajdy może być lepszy od najlepszego filmu reżysera S. z Poznania.

Ale wy się ze mną zgódźcie, że film polski jest dokładnie taki, jak go mimochodem widzą nasze ilustrowane, plotkarsko-informacyjne tygodniki: dziś na pierwszej stronie Holoubek, na drugiej Beata Tyszkiewicz, jutro na odwrót, pojutrze znowu to samo, popojutrze Holoubek spadnie na ostatnią stronę, a na drugiej znajdzie się Łapicki, a na pierwszą wskoczy Łomnicki, a po recenzji ostatniego filmu Wajdy przeczytamy następnie o nowych planach Wajdy i o nowych zamysłach twórczych Łapickiego, i o tym, co ostatnio kręci Beata Tyszkiewicz, i co ma zamiar kręcić w przyszłości Holoubek. Rotacja nazwisk jest, rzecz jasna, większa, bo więcej jest przecież miejsca w naszych ilustrowanych, plotkarsko-informacyjnych tygodnikach; znajdzie się kolumna dla Różewicza, pół kolumny dla Skolimowskiego, Batorego, Czyżewskiej, Raksy, Morgensterna, dwudziestu innych, bardzo znanych, lubianych, tak wspaniale, rdzennie warszawskich artystów, których, możesz spać spokojnie, znajdziesz jutro na ekranach, i pojutrze, kiedy byś nie poszedł do kina; tasują się, kłócą, kochają, dzisiaj para przyjaciół, jutro, w nowym filmie, parka wrogów, zawsze poprawni aktorsko w tych poprawnych warsztatowo dziełach, które — mamy prawo przypuszczać — będą coraz bardziej zaangażowane w ludową rzeczywistość, ale także coraz bardziej warszawskie z twarzy, choć pozawarszawskie z tematu. Pokażą ci dramat z Nowej Huty — a ty będziesz widział Warszawę. Pokażą ci obraz fabularny z Łodzi, Krakowa, Wrocławia, Lublina, Śląska, Białegostoku, z małych miasteczek powiatowych, a ty wciąż będziesz widział kochaną, znaną na pamięć z ilustrowanych tygodników Warszawę, znane z warszawskich kawiarń i knajp gesty, miny, fochy, znany z warszawskich kręgów literackich żargon, jakże odmienny od tego, który można rzeczywiście usłyszeć poza stołecznymi granicami.

Przestańmy się oszukiwać. Żeby zrobić dobry, prawdziwy artystycznie film o Łodzi czy Katowicach, trzeba tę Łódź i Katowice znać jak własną kieszeń. Trzeba się tu urodzić, albo pomieszkać kilka lat; postudiować miejscowy język i obyczaj. Nikt mnie nie przekona, że Wajda mieszkający w Warszawie może zrobić lepszy film o Łodzi, niż Wajda mieszkający tu, pośród kominów i ciasnych, mrocznych ulic Śródmieścia, podpatrujący każdego dnia, na każdym kroku najdrobniejsze szczegóły codzienności, odpryski gestów, które, jeśli dobrze uchwycone, umiejętnie wplecione, mogą o mieście, jego troskach i problemach, powiedzieć więcej, niż inny, naszpikowany faktami film przez dwie godziny.

Trudno, rzecz jasna, zmusić albo prosić Wajdę, aby zamieszkał na stałe w Łodzi.

Ale jest przecież w tym mieście kilku uzdolnionych ludzi, reżyserów i operatorów, których warto zatrzymać, którzy z powodzeniem mogliby stworzyć grupę artystyczną, to co w oficjalnej nomenklaturze nazywa się zespołem realizatorów filmowych. Mieszka tu jeszcze Zaleski, Drobaczyński, Kluba, Berestowski, kilku innych, świeżo upieczonych absolwentów wydziału reżyserskiego i operatorskiego. Mieszka tu jeszcze paru znanych aktorów, których przed ucieczką do Warszawy wstrzymuje, jak sami to szczerze wyznają, dubbing, pozwalający przyzwoicie zarobić nie ruszając się z miejsca.

Nam nie chodzi tylko o ich nazwiska i sławę. Splendor jakiego przydają miastu. Nam chodzi przede wszystkim o to, żeby film polski mógł wreszcie głęboko zapuścić korzenie w ziemię żyzną, a nieznaną. Żeby dał świadectwo prawdzie. Żeby dojrzał te wartości, których z dystansu warszawskich klubów, knajp i kawiarń dojrzeć nie sposób.

Na dobrą sprawę — w ciągu dwudziestu czterech lat nowej Polski nie powstał jeszcze żaden, choćby dokumentalny film o włókniarzach, żaden fabularny film, który można by przyrównać faktografią i bogactwem problemów z ubiegłowieczną „Ziemią Obiecaną". A czy powstał prawdziwy, filmowy obraz Wrocławia, Poznania, Krakowa, Śląska? Prawdziwy film o kopalni, o pracy, z którego wionie zapach węgla i ludzkiego potu?

Jasne! Reżyserzy, operatorzy, scenarzyści i aktorzy mają jak najlepsze chęci! Są ambitni, pracowici, wytrwali. No i niezmiernie utalentowani. Starają się jak mogą, pracując w łódzkim, wrocławskim i katowickim plenerze, oddać prawdę o tkaczach, robotnikach i górnikach.

Ale są to wysiłki chybione.

Współczesny film musi wyrastać z tej ziemi, z której czerpie temat.

Dlatego należy przynajmniej częściowo zdecentralizować bazę zespołów filmowych. Rozrzucić je po innych miastach. Tą drogą film polski ma szansę wyjść z impasu. Zerwać z szablonem. Odciąć się od ograny ch, wyświechtanych chwytów kompozycyjnych, od skamieniałych kryteriów psychologicznych, od języka będącego naiwną stylizacją regionalnej gwary, od stołecznej panoramy reżysersko-aktorskiej, która staje się z wolna tak śmieszna, jak kapela ulicznych muzykantów, rzępoląca przez całe lata tę samą melodię.

Na zakończenie i na pocieszenie chciałem tu powiedzieć, że są ku tej decentralizacji drobne precedensy. Choćby zespół realizatorów filmowych „Droga", który u schyłku lat pięćdziesiątych działał w Łodzi pod dyrekcją Antoniego Bohdziewicza.

Bohdziewicz — jak wspominają łódzcy filmowcy — był wówczas lokalnym patriotą i odważnie walczył o swoje prawa z warszawskimi rekinami kina. Forsował ideę filmu zaangażowanego społecznie i politycznie, odcinał się od kursu na Zachód.

Teraz Bohdziewicz mieszka w Warszawie. Teraz jest stołecznym patriotą i walczy z uporem, o to, żeby przenieść do stolicy szkołę filmową.

Ale pomimo wszystko, Łódź mu tej dawnej, przebrzmiałej miłości nigdy nie zapomni.

ANDRZEJ MAKOWIECKI

PILNE PROBLEMY PRZEMYSŁU LEKKIEGO

Dalszy ciąg ze str. 1

łość, unowocześnienie i rekonstrukcję tego przemysłu w skali jego historycznego centrum, a więc Łodzi. Jak wynika z opinii zasięgniętych w środowisku inżynierów-włókienników, społeczna ocena przyszłości omawianego przemysłu ma dotyczyć nie tylko strony ekonomicznej działalności różnych branż i gałęzi, ale i ustosunkować się do trafności wyboru technologii, dokonanego przez resort i odnoszącego się do całego okresu między początkiem następnej 5-latki a rokiem 1980. Opinia zawrze poglądy włókienników na temat proporcji między stosowaną obecnie bardzo szeroko techniką tkacką a technikami nietkanymi (dziewiarstwo, wyroby klejone, włókniny itp.) oraz udziału poszczególnych surowców włókienniczych w pracy przemysłu.

*

Nie wiadomo jeszcze jaki będzie w praktyce los innego pryncypialnego wniosku, który się narodził w środowisku włókienników. Dotyczy on utworzenia ośrodka programowania rozwoju przemysłu lekkiego, w którym skoncentrowane byłyby wszystkie podstawowe zadania koncepcyjne i wykonawcze związane z programowaniem rozwoju całego przemysłu. U źródeł powstania tego wniosku jest ocena obecnego stanu w zakresie organizacji zaplecza naukowo-technicznego i służb programowania w resorcie przemysłu lekkiego — dokonana przez Głowną Komisję Postępu Technicznego, Ekonomiki i Organizacji Pracy przy ZG Stow. Włókienników Polskich. Proponowany ośrodek, zdaniem autorów wniosku, spełniałby funkcję głównego koordynatora w zakresie ważniejszych prac wykonywanych przez resortowe i branżowe jednostki zaplecza naukowo-badawczego oraz przez służby inwestycyjne zjednoczeń.

Trudności realizacyjne tego wniosku polegają obecnie na tym, że brak jest jeszcze jasności co do lokalizacji ośrodka — czy ma to być ciało przy SWP, przy Instytucie Włókiennictwa czy gdzie indziej. Jedno jest już w tej chwili pewne: kierownictwo resortu pozytywnie oceniło samą ideę i pilnie rozważa możliwości jej urzeczywistnienia. Wydaje się, że taki ośrodek mógłby odegrać doniosłą rolę w uzyskiwaniu optymalnych warunków rozwoju przemysłu lekkiego z punktu widzenia i rachunku ekonomicznego, interesu szerokich rzesz odbiorców jego wyrobów jak i interesu naszego handlu zagranicznego. Poza tym — jeśli społeczna opinia na temat przyszłości przemysłu lekkiego opracowywana przez specjalną komisję będzie mieć swe znaczenie dla resortu w określonym czasie jedynie, o tyle wzmiankowany ośrodek programowania jako ciało permanentnie działające stałby się zdobyczą trwałą.

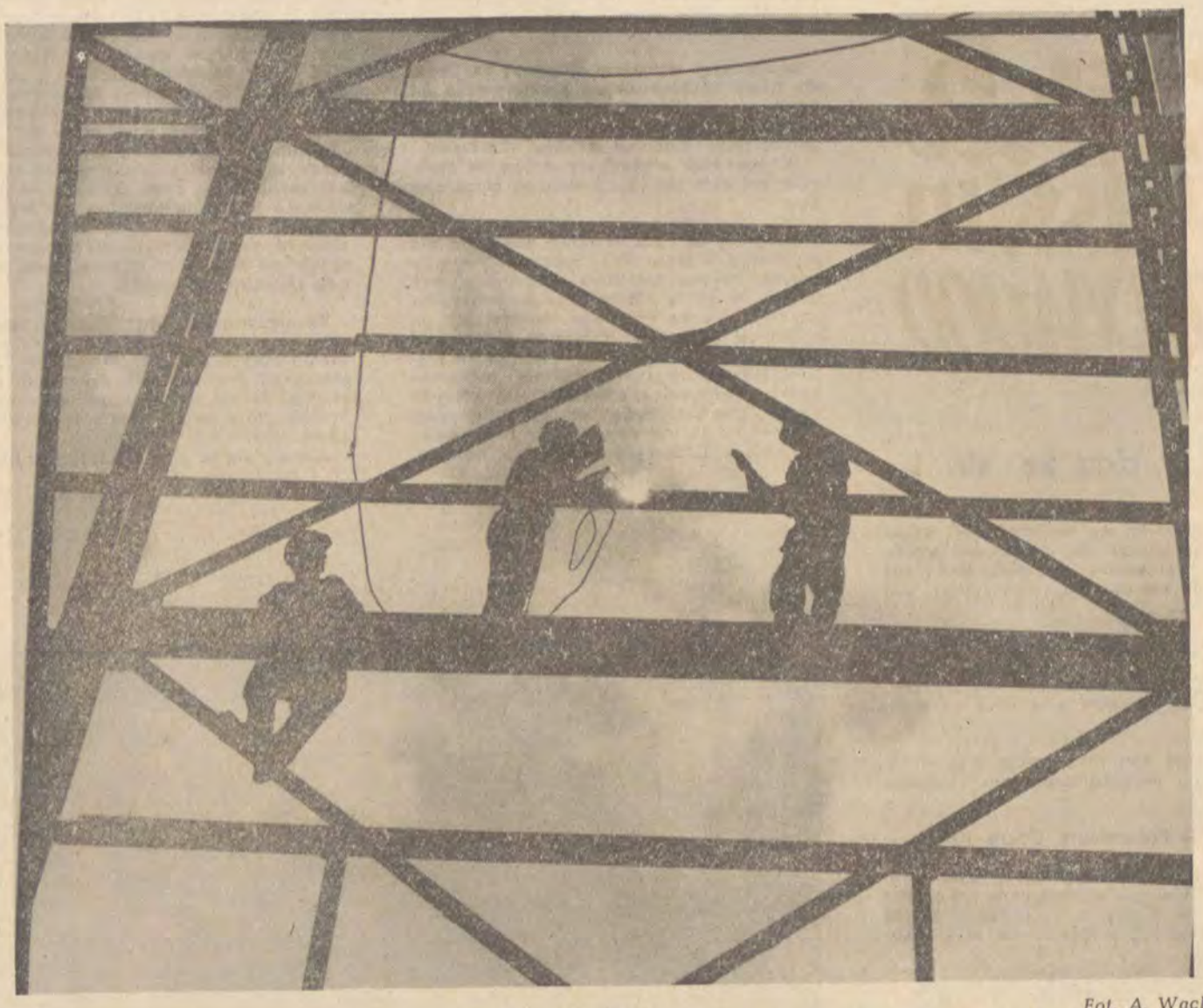

Fot. A. Wach

W toku dyskusji przedzjazdowej zaznaczyła się jednocześnie harmonijna współpraca środowiska inżynierów-włókienników z aktywem i władzami Zw. Zaw. Pracowników Przemysłu Włókienniczego, Odzieżowego i Skórzanego. Jednym z wyrazów tej kooperacji jest działanie SWP w dziedzinie szkolenia i doszkalania kadr włókniarskich. Na szczególną uwagę zasługuje inicjatywa Stowarzyszenia dotycząca pomocy przy szkoleniu robotników. Na tle rosnącego udziału nowoczesności w codziennej praktyce przemysłu lekkiego, postępującej modernizacji, stosowania nowoczesnych włókien i technologii — bardzo pilny stał się problem podniesienia poziomu fachowego ludzi bezpośrednio z produkcji. W porozumieniu z MPL najlepsi specjaliści-włókiennicy pracują obecnie nad wydaniem w druku popularnych podręczników dla 2-letnich szkół przyzakładowych. Podręczniki te będą zawierać najbardziej aktualny zasób wiedzy o poszczególnych fazach procesów produkcyjnych i przeznaczone są dla 14 najważniejszych zawodów włókienniczych. Sądząc po nakładach (2—3. tys. egzemplarzy dla każdego zawodu) z wydawnictw tych skorzysta w całym przemyśle lekkim kilkadziesiąt tys. robotników bezpośrednio związanych z procesami produkcyjnymi.

*

Najtrudniejszy w realizacji jednak wydaje się wniosek inżynierów-włókienników w sprawie przemysłu maszyn włókienniczych. Chodzi o maksymalne przystosowanie krajowej produkcji maszyn i urządzeń do potrzeb przemysłu włókienniczego i innych branż przemysłu lekkiego. Jeśli — powiadają inżynierowie — przemysł maszynowy dostarcza temu przemysłowi rocznie (w 1968 r.) maszyn i urządzeń za około 500 mln zł, a w przyszłej 5-latce średnio rocznie za 900 mln zł. — to perspektywy pełnego zaopatrzenia w niezbędne maszyny są wręcz niewesołe. Nakłady na nie w przemyśle lekkim wyniosły w roku 1968 3,8 mld zł, a w przyszłej 5-latce wyniosą średnio rocznie 6,4 mld zł. Ponieważ trudno się godzić, aby te olbrzymie luki w zaopatrzeniu w maszyny i urządzenia były pokrywane systematycznie drogą kosztownego importu, wysuwane są w środowisku SWP następujące wnioski do realizacji:

podjęcie inwestycji w przemyśle budowy maszyn włókienniczych w znacznie większym niż dotychczas zakresie, jak również pilnej rozbudowy zaplecza technicznego tej branży,

wprowadzenie większej specjalizacji produkcji maszyn i urządzeń (obecnie branża maszyn włókienniczych produkuje aż 183 typy maszyn przy swoim bardzo skromnym potencjale),

przyspieszenie stworzenia programu dla unowocześnienia produkcji krajowych maszyn włókienniczych w oparciu o lepsze rozpoznanie potrzeb, wynikających z rozwoju przemysłu włókienniczego we współczesnym świecie.

zmniejszenie wachlarza asortymentowego produkowanych typów maszyn i przejście na długie serie produkcyjne maszyn o najlepszych wskaźnikach i tzw. parametrach.

Tym ogólnym poglądom włókienników na sytuację towarzyszą wnioski szczegółowe, dotyczące produkcji dostatecznej ilości części zamiennych (z czym jak dotąd najwięcej kłopotów w przemyśle), unowocześnienia odlewni, poprawy zaopatrzenia przemysłu maszyn włókienniczych w lepsze jakościowo surowce (stal, tworzywa sztuczne itp.) i in.

Stanowisko wyrażone tu w skrócie dotarło już do MPL, jako najbardziej i bezpośrednio zainteresowanego tą małą „rewolucją" w przemyśle maszyn włókienniczych. Jest pewne, że w najbliższym czasie przekonsultowane ono zostanie również z MPC, któremu branża podlega — niemniej jednak cały ten problem nie może być radykalnie rozwiązany bez udziału innego jeszcze partnera — handlu zagranicznego. Niewątpliwie zabierze on głos zarówno w sprawie ewentualnego ograniczenia eksportu (dla zwiększenia dostaw dla fabryk w kraju) jak i w sprawie możliwości zwiększenia importu tych typów maszyn i urządzeń, które w związku z niezbędną specjalizacją branży maszyn włókienniczych wypadłyby z jej profilu produkcyjnego.

Dopiero po dokładnym przemyśleniu wszystkich za i przeciw i uwzględnieniu najżywotniejszych interesów poszczególnych branż i całej gospodarki narodowej — można będzie mówić, że w sprawie omawianego tu kapitalnego wniosku inżynierów-włókienników uczyniony został zdecydowany krok naprzód. Wniosek jest kapitalny, gdyż jego realizacja w ogromnym stopniu przyczyniłaby się do szybkiego zrównania techniki wytwarzania oraz jakości wyrobów naszego przemysłu lekkiego z techniką i jakością najlepszych w świecie producentów.

FELIKS BĄBOL

ZBIGNIEW WOJCIECHOWSKI

Klucz do gniazdeczka

— Tu są klucze do pana gniazdeczka — powiedziała blond-referentka.

A ja w tej chwili naprawdę zacząłem się cieszyć. Więc wreszcie koniec oczekiwania, więc wreszcie koniec z tą mieszkaniową tymczasowością, więc za chwilę będę miał decyzję, klucze, będę wreszcie po latach oczekiwania — miał własne mieszkanie. „Bardzo się cieszę! Nawet nie wie pani jak bardzo!" — wyrzuciłem z siebie. „Niech się pan tak bardzo nie cieszy" — odpowiedziała tonem doświadczonej kobiety, która niejedno przeżyła. „Teraz się dopiero zacznie". Wtedy nie wiedziałem, nawet nie dopuszczałem przez ułamek sekundy myśli, że blond referentka może mieć rację. A niestety miała.

* * *

Zaczęło się już następnego dnia, bowiem postanowiłem przeprowadzić się bezzwłocznie, by móc jak najszybciej nacieszyć się własnym mieszkaniem. By móc je urządzić a następnie z nieukrywaną dumą pokazać tym znajomym, którzy jeszcze mieszkania nie mają, którzy na swój kąt czekają w długiej kolejce. Człowiek lubi mieć takie małe satysfakcje. Mebli trochę miałem, zostawiła mi je w spadku świętej pamięci stryjenka, część kupiłem w „Domusie" gdy były. Kupiłem je, bowiem bałem się, że ich nie będzie. Intuicja mnie nie zawiodła. Bujaków nie ma i nie wiadomo czy będą. A ja mam. Tapczan natomiast, ten podstawowy mebel potrzebny do pracy i wypoczynku we dnie i w nocy postanowiłem nabyć od ręki.

Z wyborem tapczanu nie miałem kłopotu. Podsłuchałem bowiem rozmowę kierownika stoiska ze swym znajomym, któremu radził „kup tapczan z Bydgoszczy. Za trzy tysiące pięćdziesiąt. Lepszego nie znajdziesz". Więc natychmiast zdecydowałem się i bez trudu stałem się właścicielem bydgoskiego tapczanu. Po godzinie trzej dżentelmeni, z pomocami do pracy, czyli pasami, podnieśli tapczan jak piórko do góry i ułożyli w wielkim samochodzie z napisem „meble". Oprócz mojego nowego zakupu były tam jeszcze serwantki, fotele, stoły, krzesła i dwie ogromne szafy, których drzwi raz po raz niemiłosiernie skrzypiąc — otwierały się wprawiając tragarzy-meblarzy w stan zirytowania. Sprawdziwszy adres kazali mi czekać przed domem. Niedługo przyjadą, najpierw odwiozą te cholerne szafy, bo tak skrzypią, że wytrzymać nie można. „Ale niech pan się spieszy bo zaraz będziemy. Samochodem to szybko!" — powiedzieli i odjechali. Jak szybko, to szybko, więc i ja wsiadłem do samochodu i wkrótce znalazłem się na progu mojego domu. Stoję i czekam kwadrans, jeden, drugi, trzeci... gdy mijał czwarty — wóz meblowy wtoczył się na teren budowy. Z wozu wyskoczyła trójka panów i raźno wzięli się do roboty. Tapczan bez przeszkód przebrnął przez drzwi i znalazł się na klatce schodowej. Do windy się nie mieścił. Klatka była wąska i „niewąsko" już przez wnoszenie innych mebli poobijana. Ale moi panowie byli fachowcami. Umiejętnie na zakrętach przechylali mebel, tak, że tylko dwa razy zarysowali ścianę, zresztą nieznacznie.

Na ich usprawiedliwienie powinienem dodać, że musieli się spieszyć, bowiem tuż za nimi wnosili kredens ich koledzy z innego salonu meblowego. Tak dotarliśmy na trzecie piętro. Tu bez słowa moi panowie postawili na schodach tapczan i poczęli sposobić się do zakończenia roboty.

„Panowie, przecież ja mieszkam na szóstym piętrze". „No to co? My odnosimy tylko do trzeciego piętra. Tak pan ma opłacone", — powiedział ten starszy, wyczekując na moją reakcję. Z dołu dochodziły już do nas zniecierpliwione głosy tych, co niosą kredens. „Ej, wy tam z tym tapczanem pospieszcie się!" Byłem zupełnie bezradny. Wiadomo przecież, że sam go nie zdołam zanieść na górę, może by mi i kto pomógł, ale kredens był coraz bliżej, a mój tapczan zablokował całe przejście.

„No to ile panowie chcą za wniesienie tapczanu na szóste piętro?". „Pięćdziesiąt" odpowiedział spokojnie ten najstarszy i zaraz — „ale od razu od ręki", żeby nie było wie pan.. nieporozumień". Wyciągnąłem z portfela pięćdziesiąt złotych, licząc ile mi jeszcze zostało. Starszy zrobił zdziwioną minę i prawie obrażony, schodząc ze schodów warknął „Co pan? Pięćdziesiąt na głowę"! Wyjąłem jeszcze sto złotych Panowie bez słowa wzięli honorarium i leciutko podnieśli tapczan. Po chwili byli już na szóstym piętrze. Otwierałem drzwi mego nowego mieszkania. Zamek się zaciął, ale zdążyłem na czas. Panowie przepchnęli tapczan przez drzwi, mieli jednak niejakie trudności z obróceniem tapczanu w ciasnym korytarzyku, próbowali raz, drugi, trzeci, wreszcie skonstatowali, że im się bardzo spieszy. „Więc jak to? — Panowie przecież wzięli pieniądze a teraz zostawiacie tu tapczan i idziecie" — próbowałem interweniować. „My wzielim pieniądze za wniesienie tego grata na szóste piętro, a nie za wniesienie go do pokoju. Ot, co" — rzekł najmłodszy, który do tej pory się nie odzywał. „No to i wnieśliśmy" — powiedział, otwierając kluczem drzwi od windy, którą cała trójka spokojnie zjechała na dół.

Po dwóch godzinach szamotania, tapczan znalazł się w pokoju, tylko dzięki pomocy sąsiada, u którego później wspólnie wnieśliśmy kredens także zostawiony przez tragarzy w przedpokoju. Z pożyczaniem pieniędzy nie miałem pro-

Na przykład technologia metali...

Politechnika Łódzka. Dziesiątki katedr, zakładów naukowych, zajmujących się kompleksami zagadnień, lub ich wycinkami, czasem drobnymi na pozór problemami, o których nie ma pojęcia przeciętny zjadacz chleba, przeciętny konsument dóbr materialnych nie zdający sobie sprawy, że jakość tych dóbr, ich wartość zależy właśnie od efektów prac naukowych i ich zastosowania w praktyce. Na przykład Katedra Technologii Metali. Idąc na rozmowę z jej kierownikiem prof. dr inż. **JANUSZEM SZRENIAWSKIM** nie wiedziałam nawet czym się ta katedra zajmuje. W pierwszych chwilach rozmowy, kiedy zetknęłam się ze sformułowaniami takimi jak: rekuperatory opromieniowane do żeliwiaków z gorącym dmuchem, ogarnął mnie lekki przestrach, ale Profesor ma talent pedagogiczny i przełożył wkrótce wszystko na zwyczajny język.

Dowiedziałam się więc, że praca katedry jest bezpośrednio i ściśle związana z samym sercem postępu technicznego: budową nowoczesnych maszyn i urządzeń. Technologia budowy maszyn dzieli się na dwie główne grupy: wiórową (obróbka za pomocą skrawania) i bez wiórową, to znaczy taką, przy pomocy której części maszyn wykonuje się za pomocą odlewania lub spawania obróbką plastyczną. Jest to technika dominująca i ona właśnie jest przedmiotem zainteresowania katedry. Innym działem badań w katedrze jest organizacja i planowanie produkcji.

— A więc — oddycham z ulgą — tutaj już konkretne powiązanie z przemysłem.

— Nie tylko tutaj — uśmiecha się Profesor — przecież wszystko co robimy, robimy z myślą o przemyśle i dla przemysłu.

— Czy katedra współpracuje z konkretnymi zakładami.

— Oczywiście. Ze 150 prac naukowych, które powstały u nas, po nad 50 opracowaliśmy dla konkretnych zakładów produkcyjnych. Dla przykładu. W gospodarce narodowej bardzo istotnym zagadnieniem jest problem paliwa. Kraj nasz jest ubogi w koks odlewniczy. Trzeba go więc zastępować innymi rodzajami paliwa, na przykład syntetycznym koksem formowanym. To jednak jest związane z rekonstrukcją pieców do topienia żeliwa tzw. żeliwiaków. W Zakładach Metalurgicznych w Nowej Soli do konano rekonstrukcji pieców według naszych wskazań. Przeprowadziliśmy również taką rekonstrukcję w Fabryce Kotłów na Chojnach. Te praktyczne przedsięwzięcia poprzedziły nasze prace teoretyczne, w wyniku których powstała książka „Rekuperatory opromieniowane do żeliwiaków".

— W jakim stopniu potrzeby gospodarki narodowej, przemysłu rzutują na plany pracy katedry?

— Jesteśmy tym planom całkowicie podporządkowani. W dziedzinie, którą się zajmujemy, narodowe plany gospodarcze przewidują dwa podstawowe problemy: wykonywania form piaskowych prasowanych pod wysokimi naciskami i wytwarzania rdzeni w tzw. „gorących rdzenicach". Może wyjaśnię na początku że chodzi tu o formy, w których odlewane są części maszyn oraz o rdzenie, które odtwarzają wewnętrzne kształty tych części. W przemyśle stosowane są dwa rodzaje form: metalowe czyli kokile służące do wielokrotnego odlewania oraz piaskowe, do odlewania jednorazowego, ale za to znacznie tańsze. Wykonywanie form piaskowych prasowanych pod wysokimi naciskami jest najnowszą metodą stosowaną w świecie, znacznie doskonalszą od poprzednio stosowanych. Ten właśnie problem opracowuje nasza katedra i na najbliższej konferencji ogólnopolskiej w maju w Łodzi podzielimy się naszymi osiągnięciami w tym zakresie. Konferencje takie organizujemy wspólnie z Zarządem Oddziału Stow. Technicznego Odlewników Polskich często w Łodzi, z którym współpracujemy zresztą ściśle. Ściśle też współpracujemy z Instytutem Odlewnictwa Min. Przemysłu Ciężkiego w Krakowie, który jest placówką wiodącą w zakresie wprowadzania w życie nowoczesnych technologii: gorących rdzenic i prasowania form piaskowych pod wysokimi ciśnieniami.

— Z jakimi jeszcze zakładami produkcyjnymi współpracuje katedra?

— Najbardziej wszechstronną, trwającą już osiem lat współpracę prowadzimy z Łódzką Fabryką Maszyn Budowlanych. Opracowane wspólnie z dr inż. St. Stacholcem, w wyniku długoletnich badań 6 prac naukowych z zakresu technologii wytwarzania żeliwnych walców utwardzonych przekazano fabryce do wykorzystania. W efekcie umożliwia to zmniejszenie ilości braków i ułatwia rozpoznanie przyczyn tych braków i wad produkcji. Z fabryką współpracujemy też na odcinku organizacji produkcji. Nie muszę chyba podkreślać, że taka współpraca jest korzystna dla obu stron. Konfrontacja naszych propozycji, wcielonych w życie, pomaga nam weryfikować nasze wytyczne, nasze stanowisko w zetknięciu z realnymi warunkami pracy, ciągle dokonywającym się na wszystkich odcinkach działalności fabryki postępem.

Współpracujemy również z zakładami nieco innego typu. Dla Fabryki Maszyn Górniczych w Piotrkowie opracowywane są technologie wykonywania rdzeni w tzw. gorących rdzenicach — metody nowoczesnej, dokładniejszej, szybszej i tańszej od dotychczas stosowanych. W zakresie gorących rdzeni prowadzimy również badania dla Fabryki Łączników w Radomiu. Dla „Ursusa" opracowaliśmy cały szereg dokumentacji konstrukcyjnych tych form metalowych i technologii odlewania w nich odlewów ze stopów aluminium. Nasze prace mają na celu również poprawę jakości żeliwa. Utrzymujemy wieloletnie kontakty z Fabryką Kotłów, o której już wspominałem, także w dziedzinie topienia żeliwa w żeliwiakach. Wspólnie ze specjalistami fabryki opracowaliśmy plan przebudowy i rekonstrukcji urządzeń mających na celu udoskonalenie procesu topienia żeliwa. Dla Widzewskiej Fabryki Maszyn przygotowujemy perspektywiczny program odlewni z punktu widzenia przejścia na technologię odlewania kokilowego. I tak dalej i dalej. Nasze prace teoretyczne są zawsze związane z praktycznymi potrzebami przemysłu i gospodarki narodowej.

— Czy Katedra Technologii Metali Politechniki Łódzkiej jest jedyną tego typu w kraju?

— Technologią metali zajmują się prawie wszystkie politechniki w kraju, jednak dla tych trzech kierunków, które łączy nasza katedra — odlewnictwa, obróbki plastycznej i organizacji produkcji, w zasadzie wszędzie są oddzielne katedry.

— A jak się stało, że łódzka zajmuje się tymi wszystkimi zagadnieniami?

— Początkowo profil katedry był inny. Do 1956 roku była Katedrą Obróbki Metali II. Z chwilą kiedy objąłem tę placówkę, wprowadziłem technologię obróbki plastycznej ponieważ jest to moja pierwsza specjalność. A że do tego byłem przez wiele lat pracownikiem przemysłu, interesowało mnie również planowanie i organizacja produkcji. I tak jakoś się stało, że zajęliśmy się tymi trzema kierunkami naukowymi.

— Ilu wychowanków opuściło katedrę?

— W sumie około 250, w tym ponad stu specjalistów w zakresie odlewnictwa. Większość z nich pracuje w zakładach Łodzi i województwa. W katedrze mamy „własnych" sześciu doktorów, którzy tu się doktoryzowali.

Opuszczam tę placówkę naukowej myśli technicznej, o której się tak mało wie, a której praca jest tak cenna. Kierownik Katedry prof. dr inż. Janusz Szreniawski i jego najbliżsi współpracownicy dr inż. Przemysław Wasilewski, dr inż. Zbigniew Wroński, dr inż. Stanisław Stacholec, dr inż. Andrzej Jopkiewicz są autorami wielu prac naukowych, za które otrzymali szereg nagród, między innymi: prof. Szreniawski nagrody II i I stopnia Min. Oświaty i Szkolnictwa Wyższego w latach 1965 i 1968, dr inż. Wasilewski w 1965 r. taką samą nagrodę III stopnia, prof. Szreniawski i dr inż. Wroński zespołową nagrodę KNiT w 1967 roku itd. Każdy rok pracy katedry przynosi nowe osiągnięcia naukowe jej pracownikom, kształci nowe kadry specjalistów, pomaga w udoskonaleniu produkcji przemysłowi.

Rozmawiała:
TERESA WOJCIECHOWSKA

Płonica

FRANCUSKI DZIENNIK O POLSKICH PISARZACH

Paryski „Le Monde" w swym cotygodniowym wielostronicowym dodatku literackim informuje także i o współczesnym piśmiennictwie polskim. Niedawno zamieszczono tam entuzjastyczny artykuł o twórczości Teodora Parnickiego, zwracając uwagę na filozoficzną wartość i znaczenie poruszanej przezeń problematyki oraz niezwykłość formy.

Obecnie to samo pismo daje sylwetę poety, dramatopisarza i prozaika, Stefana Flukowskiego. Autor artykułu, polonista francuski polskiego pochodzenia, urodzony w Lille, Stanisław Kocik zajmuje się przede wszystkim prozą Flukowskiego, począwszy od jego nowel, zamieszczanych przed 40 laty w „Kwadrydze" i powieści „Pada deszcz" z 1931 roku, aż do „Płomienia i róży", która jest powieścią o Juliuszu Słowackim. Przy okazji przypomina Kocik, że twórczość Słowackiego została ostatnio we Francji przypomniana dzięki kapitalnym pracom i tłumaczeniom profesora literatury polskiej na Sorbonie Jeana Bourtily'ego laureata polskiego Penclubu.

Kocik przypomina także, że Flukowski jest tłumaczem Anatola France'a, Preverta, Ramuza i Miłosza. Ostatnio był Flukowski gościem francuskiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych i przy tej okazji rozmawiał z przedstawicielem „Le Monde", wypowiadając pogląd, że w prozie — „język, akcja i psychologiczna analiza powinny być podporządkowane sprawom kompozycji. Zadaniem prozaika jest, zasadniczo, — niszczenie narracji".

Dodajmy, że zainteresowanie polskim piśmiennictwem we Francji dotyczy także i dramatopisarstwa. Paryska telewizja wystawiła „Dom kobiet" Zofii Nałkowskiej, w przekładzie Jadwigi Kukułczanki. Zasługą tej tłumaczki jest także umieszczenie „Dwóch teatrów" Jerzego Szaniawskiego i „Matki" Witkiewicza w programie francuskiego radia, kilkakrotnie powtarzanym. Wydawnictwo „Gallimard" postanowiło opublikować całą serię dramatów Witkiewicza, w przekładzie Kukułczanki, wspólnie z Claude Roy, Francois Marie i J. Carrierem. W ramach tej serii znajdą się m. inn.: „Matka", „Metafizyka dwugłowego cielęcia", „Kurka wodna", „Wariat i zakonnica", „Szewcy", „Oni", „Guy bal Wahazar".

WN.

Płonica

---

blemów. Koledzy i koleżanki z biura z chęcią oferowali „chwilówki" do pierwszego, licząc na huczne oblewanie mieszkania, na które za proszę moich wierzycieli. Gorzej natomiast było z wolnym czasem. Nie mogę zrozumieć dlaczego na tak prozaiczną czynność (i nie pochłaniającą zbyt wiele czasu) jaką jest ślub, prawo pracy przewiduje dni wolne, a na rzecz naprawdę czasochłonną, na przeprowadzkę do nowego mieszkania, nie ma nawet dnia wolnego. W ostateczności o wiele trudniej u nas zdobyć mieszkanie niż żonę czy męża i o wiele rzadziej to pierwsze się robi niż to drugie. Znam wielu takich, którzy żenili się, by otrzymać mieszkanie, natomiast coraz mniej spotyka się sytuację odwrotną. Znowu wchodzimy na teren obowiązujących przepisów, norm — to nie jest tematem mojej opowieści z tego prostego względu, że to mnie już nie dotyczy. Ja mam mieszkanie, ja mam pieniądze (pożyczone) i teraz się urządzam. Bezskutecznie wbijam gwoździe w betonowe ściany z prefabrykatów. Tynk odpada. Palce pokaleczone. Nie da rady. Ktoś dzwoni do drzwi. Otwieram. W drzwiach dwóch mężczyzn. Kłaniają się grzecznie i proponują swoje usługi. „Może panu wstrzelić gwoździa w ścianę? Może umocować ramy do firanek. Wstrzelić gwoździe i zawiesić lustro?". „Proszę, proszę, niech panowie pozwolą" — zapraszam uciszony. Panowie pozwalają i za pomocą specjalnego urządzenia — pistoletu wstrzeliwują gwoździe w ściany. Każdy strzał 10 złotych. Trzy ramy na trzy okna to 6 strzałów, dwa lustra, dwa strzały, świeczniki — 2 strzały, 4 obrazy — reprodukcje — 4 strzały, kinkiet — jeden strzał i dwa strzały w kuchni na wiszącą szafkę. W sumie siedemnaście strzałów — 170 złotych — dziesięć minut roboty. Płacę, dziękuję usłużnym panom, którzy już dzwonią do mego sąsiada. Właśnie od niego wychodzi starsza pani z koszykiem pełnym różności i od razu wita mnie uśmiechem. „Ja do pana!" — „O co chodzi?" „Przyniosłam mydelniczki plastikowe — na pewno pan nie ma w łazience — o! i wycieraczka się panu przyda, a do kuchni taka podstawka do talerzy, klosik do przedpokoju... zresztą niech pan wybierze co panu potrzeba"... — powiedziała rozkładając swój kolorowy kramik. Wybrałem... za 360 złotych. Jeszcze do brze nie poukładałem wszystkich zakupionych drobiazgów, gdy zadzwonił dzwonek. „Słyszałem, że u pana nie spływa woda w łazience, a w kuchni z kranu woda kapie. Uszczelki nie ma...". „Nie wiem, muszę sprawdzić"... — odpowiedziałem zdumiony, bo jeszcze nie odkręcałem kranu w kuchni ani nie korzystałem z łazienki. Ale hydraulik miał rację. Woda nie spływała, uszczelka była popsuta. Po kwadransie wszystko już było w porządku woda płynęła wartko a wraz z nią popłynęło kolejne sto złotych. „Gdyby jeszcze coś pan miał do mnie, to niech się pan popyta u sąsiadów. Tu jeszcze jest na tydzień roboty" — powiedział na odchodnym hydraulik i w drzwiach wpadł na elektryka, który przyniósł ze sobą nowe kontakty, bo te na pewno nie wszystkie działają. Wymieniwszy złe na dobre, kupiłem jeszcze kilka żarówek, wtyczki, sznury, przedłużacze, oraz słońce elektryczne, które mój gość na wszelki wypadek miał ze sobą. Po co mam chodzić po sklepach. On wie, że ja czasu nie mam, bo to przeprowadzka, więc sam o tym pomyślał.

„Dobry człowiek — teraz ja o nim pomyślałem, zapłaciłem co trzeba i rozpocząłem konferencję ze stolarzem, który poprawił mi nie domykające się drzwi i okna. W tym czasie pomocny ślusarz sprzedał mi, a następnie założył zamek „Łucznik" („bo pan wie kręcą się tu różne typy jeszcze pana okradną"). Następnie pan w kombinezonie zaoferował mi klej i swoją pomoc przy doprowadzeniu podłogi z płytek PCV do stanu używalności. Aktualnie bowiem płytki odstawały, tak, że można było się potknąć, nogę złamać, co w tym okresie czasu nie byłoby najlepsze. Z usług malarza nie skorzystałem, natomiast wdzięczny byłem banknotem 50-złotowym za odpowietrzenie kaloryferów. Od palacza, który mi tę usługę wykonał dowiedziałem się, że gdybym potrzebował czegoś mocniejszego na oblanie mieszkania to można to kupić nawet w nocy u dozorcy w drugim bloku. Dowiedziałem się także, że ci wszyscy panowie rzemieślnicy, którzy złożyli mi bynajmniej nie kurtuazyjne wizyty, pracują w tym przedsiębiorstwie budowlanym, które budowało ten blok i teraz po pracy w ramach prac zleconych przez lokatorów poprawiają własne usterki. W przeciągu następnych dni odwiedziła mnie pani, która oferowała znakomite z dederonu, przywiezione prosto z NRD — firanki, — tapicer przekonywał mnie, bym pokrył na nowo dopiero co kupiony tapczan. Znalazł się także jakiś młody człowiek, który podawał się za architekta wnętrz, plastyka, i chciał mi pomóc, za odpłatnością, w estetycznym urządzeniu mieszkania. Sąsiad zameldował mi, że podczas mojej nieobecności byli także Świadkowie Jehowy chcąc mnie nawrócić z grzesznej drogi jaką kroczę, był szklarz z propozycją opatrzenia okien („bo teraz tak robią wszystko na łapu capu, a szybę jak kobietę trzeba wypieścić...") był także listonosz który oferował za jedyne pięć złotych dodatkowy kluczyk do skrzynki na listy („w wypadku, gdy jeden się zgubi — drugi będzie jak znalazł") przy okazji sprzedając kluczyki do windy. Sąsiad kupił dla mnie, no bo taka okazja!

W pracy już nikt mi nie chce pożyczyć pieniędzy. Zadłużyłem się po uszy. Na każdy dzwonek do drzwi reaguję nerwowo. Kilka brzydkich słów powiedziałem panu, który pytał czy chcę, by mi założył antenę telewizyjną. „Fachowo i tanio, bo zakłada już dwudziestu ośmiu sąsiadom to tylko raz na dach wejdzie, więc mi trochę opuści". Na szczęście telewizora nie mam, mogłem więc sobie pozwolić na kilka słów prawdy. Gdy słyszę pukanie do moich drzwi, dostaję drgawek. Ostatnio dostało się ajentowi PZU, który chciał ubezpieczyć mnie i moje mienie od kradzieży, ognia i innych mniej lub bardziej nieszczęśliwych wypadków. Rację miała blond-referentka, kiedy urealniając moje marzenia — powiedziała: niech się pan tak bardzo nie cieszy...

ZYGMUNT FIJAS

Kierownik działu rozrywkowego gazety NN, Wincenty Harhara, zachorował — rzekomo na grypę, według niego ta azjatycka zaraza rzuciła mu się na żołądek, podczas gdy woźny informował mnie, że „przylepiło mu się do żołądka nieświeże jajko" — zbliżały się ostatki, artykułu okolicznościowego o karnawale nie miał kto napisać, wszyscy bowiem „lżejsi" redaktorzy uciekli przed chorobą w „teren" albo już słabowali, naczelny przeto zwrócił się do mnie, jako do „zapasowego", z prośbą o dostarczenie czegoś stosownego o ostatkach.

— Może to być sążnista kobyła — kazał powiedzieć przez sekretarkę. — Grypa dokonała spustoszeń, miejsca na stronie możemy mieć jak lodu. Ale, kochany, nie zróbcie zawodu. Praca może być oddana w ostatnim terminie. Chociażby nawet cienkim świtkiem. Honorarium, pan wie — tu sekretarka przymrużyła oko, wskutek czego odlepiła się jej sztuczna rzęsa; umocowawszy ją na powiece, dokończyła: — Gdy naczelnemu się śpieszy, honorarium może być dubeltowe.

Propozycja była nęcąca. Do pracy zabrałem się z zapałem. Ale czy to z powodu kataru, zwyżki ciśnienia krwi lub jego nagłego spadku nic mi rozrywkowego spod pióra nie wychodziło. Nic poza tym zgorzkniałym, śledzienniczym wstępem:

„W tematyce przeznaczonej do publicystycznego przemiału wiele ongiś było tak zwanych samograjów. Wystarczyło dotknąć takiego samograja w odpowiednio wrażliwe miejsce, aby artykuł grał jak pianola. Podobnie było w tematyce przeznaczonej do rozrywkowej obróbki. Wystarczyło położyć na kopycie jakiś schemat, aby bez naciągania skóry zębami, cholewki układały się w modne zgrubienia, obcasy schemata budowały się efektownie, i jak z rogu obfitości sypały się czytelnikowi różne łatwe przejęzyczenia, kalambury, zabawne spięcia sytuacyjne i pojęciowe, zaś odbiorca podczas konsumowania przeznaczonych dla niego smaczności śmiał się na całą szerokość swej — mniej lub bardziej przyzwyczajonej do śmiechu — twarzy.

Przed wojną do tych samograjów rozrywkowych należały często takie żelazne tematy jak teściowa, straż pożarna, rymy do słowa „grupa", sylwester, małżeństwo; później — po wojnie istnienie w wytworach przemysłu piekarskiego — kawałków sznurka, gwoździ, w mleku prosto od krowy — wody, w produkcji artystycznej: utwory poetyckie polegające na tak zwanym wyliczaniu, bez łatwego, wpadającego w ucho rymu i rytmu, muzyka nie programowa, a także twórczość Stanisława Ignacego Witkiewicza, Strzemińskiego, Picassa oraz, jakby „oślim ogonem pomalowane kulasy" Pawła Klee, pod którymi to nazwiskami podpisują się dziś obiema rękami nawet ci, co chociaż naśladują tych twórców, to i obecnie w głębi duszy na sam dźwięk ich nazwisk, dostają białej gorączki.

W wielkim ambarasie bywa posługacz pióra starający się starym samograjom przypiąć nowe piórka. Albowiem, żeby nie wiem jak mocno przyduszał któryś z samograjów lub — jak w walce wolno amerykańskiej — brał go za ręce i nogi, i tłukł jego kadłubem i łbem o ziemię, to nic innego z tego tłuczenia nie mogło wyniknąć, jak to, co już inni wyrobnicy pióra — o wiele wcześniej i w doskonalszy sposób — z niego wytłukli.

Ale bądźmy sprawiedliwi! Czy jest sens pokpiwać z ograny ch tematów, i czy „w ogóle" można mówić o jakimkolwiek ograniu, skoro wszystkie motywy już od starożytności były używane, tak zwany oklepany temat może się stawać źródłem coraz to innych inspiracji, i zawsze się nim staje, podobnie jak stają się punktami wyjściowymi do ciągle nowych gier rozrywkowych dowcipy o Szkotach, rozbitkach, fakirach, haremach, mankach, dolarze — czytelnik lubi stereotypowość... Gdyby straż pożarna, jako temat, straciła na rozrywkowym znaczeniu, Czechow nigdy by nie napisał żarciku scenicznego z życia „brandmajstrów", po małopolsku mówiąc „fajermanów".

Czyż zatem jedna z podwawelskich głów, może nazywająca się „Kosiński", może inaczej, miała słuszność, gdy niewiele czytając, wytknęła w jednym z numerów „Życia Literackiego", poganiając żartownisiów, jakby już nie miała innego sposobu na wyrobienie wierszowego, wytknęła takie bolesne schematy naszego życia — jak powolne okradania sklepów, magazynów, i samego wielkiego „Kosińskiego", przez wyznawców nieśmiertelnej maksymalistycznej zasady „śmierć frajerom, albo oni, albo my", wytknęła naprawiaczom obyczajów ubóstwo wyobraźni i naiwność życiową zasłanianą wyrazem „manko":

Na tym wyrazie „manko" nasz wstęp do rozrywkowej kobyły o ostatkach utknął — i nie posunął się dalej ani o jeden gryzmoł.

A tymczasem we wszystkich oknach najbliższego domu rozkochane pary brały się w roztkliwione objęcia; na parterze: młodzież na prywatce rypała nogami do wtóru big beatu; nade mną, na pierwszym piętrze, inna jakaś, damsko-męska młodzież ryczała na innej jakiejś „prywatce", psy wyły, zegar przybliżał termin oddania rozrywkowej pracy z inkwizycyjnym okrucieństwem, woda w wannie kapała, zdawało mi się: wprost na mą pustą czaszkę, a spod mego pióra nic nie wychodziło. Jak mówi pewien chory maniak, bufon: wychodziło absolutne zero.

Bywały takie, niekiedy nagłe i krótkotrwałe postoje twórcze — zacząłem rozmyślać — a czasem i przewlekłe. Bywały, i teraz bywają, mimo zapełniania szpalt znakami drukarskimi, tygodnie, miesiące i lata, ba! nawet dziesięciolecia, kiedy ochota do prawdziwego pisania odmawiała posłuszeństwa, i żeby nawet pięćdziesięciu listonoszy przynosiło codziennie siedemdziesiąt pięć ponaglających telegramów, na nic te ponaglania. Ochota do prawdziwego pisania zapadła w letarg.

Tak zdrewniał mózg kompozytora Rossiniego, gdy muzyk ten, napisawszy po „Cyruliku' operę „Wilhelm Tell" niczego o większym znaczeniu już nie napisał. Taki zdrewniały mózg miał Leonardo da Vinci do tematu malarskiego „Mona Liza", skoro ten architekt wojskowy, inżynier-wynalazca i malarz dopiero po dziesięciu latach dotknął pędzlem po raz ostatni „Giocondę" Taki zwiotczały mózg miał Mikołaj Gogol, kiedy po dwudziestu latach wysilania się nad pierwszym tomem „Martwych dusz", drugiego już nigdy nie wykończył; potem spobożniał, zaczął lizać carskie buty, wyrzekł się wszelkiej krytyki obyczajów — i w końcu stał się czymś w rodzaju ziemiańskiego policmajstra.

Tak — jak to mówią dziś w gwarze młodzieży stare pryki — „wysiadł" mózg genialnego poety francuskiego, Jana Artura Rimbaud, i osoba jego — z rewolucyjno-poetyckiej liryki przerzuciła się na lirykę pieniądza i przemytu broni do Abisynii

A przecież inny Leonardo da Vinci: romantyzmu, nowelista, satyryk, poeta, przyrodnik, mąż stanu oraz — zwyczajnej kwiaciarki, Jan Wolfgang Goethe przez bite sześćdziesiąt lat pisał skromną książczynę, będącą — ściślej mówiąc — zbiorem poetyckich „kawałków". Tytuł tego zbioru, po polsku: „Pięść", a po niemiecku: „Faust".

Niektórzy wielcy ludzie — myślałem z goryczą, patrząc równocześnie z zazdrością na okno w mansardzie sąsiedniej kamienicy, w którym zaprawiano się do uciech karnawałowych — mieli sposoby na ten brak ochoty do pisania. Maupassant podobno wąchał eter. Dostojewski z lękiem, ale i ochotą czekał na stan epileptycznej aury, która otwierała mu oczy na błędy, których nie dostrzegał będąc przy zdrowych zmysłach. Amerykański nowelista i poeta, Edgar Allan Poe, zażywał laudanum — albo też, jak to mówią, „szedł w miasto". Po jednym takim „chodzeniu" znaleziono go nieżywego w mieście Baltimore leżącego na desce — z żabotem na szyi i szpadą, ukrytą w lasce. Wiktor Hugo, żeby się przymusić do pisania, zgolił sobie brodę na jednej połowie twarzy. Fryderyk Schiller wąchał zgniłe jabłka. Z takim rozczuleniem wąchał tę zgniliznę, z jaką Marcel Proust... koronki dam z dawnych czasów.

Fryderyk Nietzsche — rozmyślałem z rosnącą goryczą — żeby się podnieść do smalenia ciętych aforyzmów, wkładał nogę do miednicy napełnionej zimną wodą. Potem, cierpiąc na bezsenność, nadużywał chloralu; zdawało mu się później, że jest Fryderykiem Wielkim; niektórzy psychiatrzy twierdzą, że od najwcześniejszych lat chorował na manię wielkości.

Filozof Schopenhauer, z braku ostrzejszych podniet, procesował się latami z jakąś starą babą, pieniaczył się. Gdy wkraczał do knajpy na sznapsa, bo mu jakaś nowa pesymistyczna myśl nie wychodziła, miał taką srogą twarz, że wszyscy goście przed nim uciekali. Autor „Podróży Gulliwera", „Baśni o beczce", „Najkrótszego sposobu na dysydentów", „Misterium Crapegovnorum", Jonatan Swift, aby znaleźć potrzebne mu bodźce, lubił pożyczać pieniądze i nie oddawać ich. Ponieważ groziło mu więzienie za długi, a w niedzielę, według ówczesnego ustawodawstwa, nie można było egzekwować należności, zatem wtrącić go do ciupy, ubierał się na złość wierzycielom w drogie szaty z koronkami i ukazywał się w nich w niedzielę. Wskutek czego nazywano go „sunday gentelmanem", czyli „panem niedzielnym".

Jarosław Haszek — rozmyślałem, podczas gdy wszystkie sąsiednie domy, zdawało mi się, rozejdą się w gruzy, z kilku kominów buchała para, jak domyślałem się, różnych wymyślnych robotniczych krupników: ze skwarkami lub bez nich, z lanym drynkami i ze „szmalcem", z masłem i sztucznym miodem, pączków, chrustu, fawarków, krepli, czy jak już inaczej nazywają się te trzeszczące jak szkło karnawałowe przysmaki — Jarosław Haszek, on też miał swój sposób. Całe „Przygody dzielnego wojaka Szwejka" są skąpane w goryczy oraz w tym „sposobie", od którego używania kto wie nawet czy za wcześnie nie umarł. Umarł zaś mając trochę więcej niż czterdzieści lat.

Ale jakich że sposobów — rozmyślałem dalej, sądząc, że wpadłem w stan chorobliwego braku woli, abulii — jakichże sposobów ma się jąć człowiek mały, słaby i wątły, gdy chce napisać rzecz wielką, dętą i należycie zapłaconą?

Powyższe zdanie, jak i poprzednie cytaty z życia wielkich ludzi, starałem się dobrze sobie wbić w pamięć, żeby nimi błysnąć w odpowiednich miejscach kolubryny — czytelnik bowiem lubi, gdy autor błyśnie przed nim jakąś wiadomością, nawet z drugiej i trzeciej ręki; z tytułu takiego cytowania, czyniono nawet zarzuty Anatolowi France'owi, że nie czytał w oryginale dzieł, z których zdania przytaczał, że posługiwał się cytatami z cytat. I tymi gorzkimi rozmyślaniami struty czułem, że już sam samego siebie zaczynam gonić, jak to mówią w piętkę, gdy oto klamka zgrzytnęła, coś za drzwiami kichnęło, po czym do pokoju wtoczył się nie kto inny, jeno — własnym oczom nie mogłem wierzyć — sam w swojej własnej, drągalowatej osobie, kierownik działu rozrywkowego tygodnika NN, Wincenty Harhara. I wcale nie chory! Zdrowiusieńki jak ryba. I, czego się po nim nie spodziewałem, pijaniusieńki jak bela.

— Niepotrzebnie się chandryczysz i męczysz — rzekł zionąc mi w twarz dobrym rumem „Jamajka". Niepotrzebnie — dodał po chwili, pokazując palcem stojący na stole syfon wody sodowej. — Niepotrzebnie — powtórzył po raz trzeci bo za miast twego pogodnego artykułu o ostatkach, o czym nie wiesz, pójdzie w mej kolumnie spis osób nagrodzonych ostatnio dyplomami oraz ich życiorysy i ważniejsze fakty z ich działalności, a także mój felietonik o ostatkach, który już dawno jest złożony, bo zecerzy, w wolnych chwilach lubią sobie robić zapas. — Tu, jak oberfeldkurat Katz z „Przygód dzielnego wojaka Szwejka", dostający w wiadomym humorze czegoś w rodzaju napadu miniaturowej gonitwy myśli, zaczął coś bełkotać, z czego wynikało, że winienem się natychmiast ubrać; że już dawno krytyk Artur Sandauer napisał, że nie opłaca się pisać porządnie w Polsce Ludowej, on zaś, Wincenty Harhara, dawny kandydat porządnego pióra, mówi z naciskiem, mnie, Symforianowi Bakuli, że nie tylko nie opłaca się porządnie pisać ale nawet nie wypada starać się przyzwoicie pisać, skoro za chały otrzymuje się te same honoraria, co za rzeczy na wysokim poziomie, a nawet wyższe za knoty, niż za świece. Niedaleko stąd odbywa się bal współczesnych panów, same pierścionki i złote zegarki na rączkach ich żon i przyjaciółek więcej warte, niż mogę pomyśleć, nie licząc tego, co mają ulokowane w kosztownościach samochodowych... Trzeba poznać życie. Pisać o życiu nie znając go, to potrafią gogusie w modnych kamizelkach z błyszczącymi guzikami, kabotyni, snoby i bubki, wysysający tematy z własnych palców, których w niczym nie maczali, próbujący, jak żaby, podstawiać łapy tam, gdzie się kuje konie.

Nie miałem ochoty nigdzie iść. A zresztą... Już dawno — pomyślałem — rozsypały się te spodnie w których miałem zwyczaj chodzić na przyjęcia na waleta. Lepiej zjeść kromkę własnego chleba, chociaż jałowego, niż podarowaną kromkę angielki z szynką, posmarowaną konfiturami.

Zaparzyłem gościowi kawy, lecz on nagle szarpnął mną jak workiem, po czym zarzuciwszy mą osobę na barki — o, siły to on miał, ten Harhara, jak Herkules — zniósł mnie do czekającej przed domem taksówki. Wepchnąwszy mnie w kielnię samochodu i cmoknąwszy na kierowcę jak na konia, wymamrotał: — Ogłupiałeś doszczętnie. Jak można pisać o spadaniu z konia, ani razu nie spadłszy z jego grzbietu? Trzeba znać życie jak własną kieszeń. Bez tej znajomości nie można się zabierać do żadnej pracy. Niekiedy komuś wydaje się, że ktoś pisze o niebieskich migdałach, ale w życiu — dodał sentencjonalnie, podnosząc dumnie głowę, jakby wymówił wzór Einsteina, składający się, jak wiadomo z kilku tylko znaków — w życiu też przecież rosną migdały, chociaż nie niebieskie.

„PRZED OSTATKAMI" chociaż po ostatkach

HALINA SOBCZAK-JARMOŁOWSKA

* * *

spadasz z każdym liściem
a że to boli
pozostajesz chwilę
by zrozumieć ziemię

umierasz tysiąc razy
by potem pod rzęsy
promyk słońca wpuścić

umierasz z każdą rzeką
bo co robią ryby zimą

drzewo szumi bo rośnie

aż kiedyś nie usłyszysz
jak lato odchodzi

najpierw opadają z nas kolory
pory roku i zwierzęta
później głosy

i wtedy ziemi
uczymy się od nowa

* * *

jesteś tak daleko
że aby się zobaczyć
oczy zamknąć muszę

a kiedy krzyknę z całej siły
imię twoje
doleci do ciebie moim
imieniem

a jeśli się przydarzy
że i ty zawołasz
w środku dnia
trwać będziemy chwilę
obok siebie

Adolf Frohner. Grafika austriacka.

Wystawy są tą formą kontaktów między twórcą a odbiorcą, dzięki której ruch plastyczny staje się żywy i aktywny. Żywy i aktywny — a więc mający tak istotne znaczenie dla szerzenia zainteresowań problematyką sztuk plastycznych, ich historią i aktualnymi możliwościami.

Łódź nie jest miejscem zbyt wielu wystaw. Bywały okresy, że ta międzywojenna stolica sztuki awangardowej, przeżywała całkowitą niemal posuchę w tej dziedzinie.

I dziś Biuro Wystaw Artystycznych nie rozpieszcza miejscowej publiczności nad miarem wrażeń i pomysłowością w organizowaniu wystaw. Ośrodek Propagandy Sztuki, czasem tygodniami zamknięty, czeka obecnie po niefortunnej przebudowie na ponowny remont, co wyłączy go z użytkowania na następnych kilka miesięcy. Salon Sztuki Współczesnej prezentuje wprawdzie dość dużo, jednak trudno tu nie zauważyć, że już samo doskonałe położenie tego obiektu, zobowiązuje chyba organizatorów do bardziej atrakcyjnego programu wystaw. Poziom wystaw jest tam bowiem nierówny, nierzadko pokazuje się zjawiska raczej marginesowe, nieistotne. Inne salony wystaw jak Klub MPiK, foyer Teatru Wielkiego i Teatru Nowego, Klub Dziennikarza, ze względu na swój zamknięty charakter, siłą rzeczy nie mogą szerzej oddziaływać na ożywienie ruchu plastycznego w Łodzi. Organizowane tam wystawy dając szansę mniej lub bardziej znanym twórcom, zakreślają im jednocześnie sztywne grono ewentualnych odbiorców. Dlatego wystawy te z góry skazane są na izolację, która pociąga za sobą brak szerszego rezonansu społecznego i artystycznego.

Program tych wszystkich wystaw oparty jest niemal jednolicie o krajową produkcję plastyczną. W porównaniu z takimi ośrodkami jak Poznań, Kraków czy Wrocław, gdzie wystawy sztuki obcej goszczą często jednocześnie w kilku galeriach, Łódź wydaje się pod tym względem zaniedbana. Jest to o tyle nieuzasadnione i dziwne, o ile zważy się wielkość miejscowego środowiska artystycznego, rangę miasta i istnienie w nim uczelni plastycznej.

Na takim tle tym korzystniej prezentuje się nowa działalność Muzeum Sztuki. Mowa tu oczywiście o organizowanych przez muzeum wystawach.

Jak cenna to inicjatywa, świadczyć może suche wyliczenie wystaw w salach muzeum w ciągu ostatnich dwóch lat: A więc wystawa malarstwa holenderskiego XVII wieku, która po raz pierwszy dała społeczeństwu Łodzi możliwość ujrzenia oryginalnych płócien Rembrandta. Wystawa radzieckiego plakatu rewolucyjnego — klasycznego już przykładu nowoczesnej grafiki propagandowej. Wystawa malarstwa Karola Hillera — wybitnego łódzkiego malarza z awangardy międzywojennej. Wystawa rysunków Władysława Strzemińskiego z okresu wojny — mało znany wstrząsający dokument starcia artysty z ponurą rzeczywistością totalnej zagłady. Wystawa sztuki Seuphora — klasyka francuskiej awangardy sztuki nowoczesnej. Wystawa grupy „N" z Włoch — przykład najnowszych poszukiwań twórczych w dziedzinie sztuki kinetyczno-optycznej. Wystawa Wilfredo Lama — wybitnego kubańskiego malarza. Wystawa współczesnego malarstwa francuskiego z ostatnich lat. Wystawa portretu sarmackiego — ciekawego epizodu w dziejach polskiego malarstwa portretowego, które rozwinęło się w XVII i XVIII wieku w najbliższym Łodzi regionie. Wystawa Siemiradzkiego — pierwszy po półwieczu duży pokaz twórczości malarza, który był niegdyś legendą. Czy wreszcie ostatnio — wystawa grafiki austriackiej, zupełnie w Polsce nieznanej.

Główną cechą wystaw, poza ich interesującą tematyką, jest wyjątkowa staranność z jaką są przygotowywane. Dobra architektura ekspozycji, doskonałe katalogi, często w dniu otwarcia imprezy towarzyszące, jak sympozja czy wieczory poetycko-muzyczne — to wszystko wystawia organizatorom jak najlepszą markę wśród łódzkiej i nie tylko łódzkiej publiczności. Muzeum ma bowiem ambicje, aby wystawy te miały charakter wydarzeń ogólnopolskich. Dyrektor Stanisławski mówi na ten temat: „Tradycje, jakie posiada to muzeum, w którym znajduje się mała, ale jedna z najciekawszych w Europie środkowej kolekcji sztuki nowoczesnej, wymaga od nas kontynuacji i rozwijania bardzo szerokiej działalności artystycznej i organizacyjnej i to nie tylko w skali krajowej".

Dlatego muzeum jest również organizatorem wystaw sztuki polskiej za granicą. W ubiegłym roku wspólnie z Royal College of Art otworzyło w Londynie wystawę współczesnego malarstwa polskiego, w Hawanie wspólnie z galerią Casa de las Americas — wystawę grafiki polskiej, w Norwegii, Finlandii i Danii — zbiorowe wystawy współczesnej twórczości wybranych malarzy polskich, w tym i łódzkich. W bieżącym roku jest przygotowywane w Paryżu wspólnie z Musée Galiéra wystawa, która ukaże źródła i poszukiwania nowoczesnej plastyki polskiej w XX wieku. Znajdą się tam dzieła łódzkiej awangardy międzywojennej — Strzemińskiego, Hillera, Kobro. Wystawa jest przygotowywana w związku z 25-leciem PRL.

Bieżący rok w krajowych planach muzeum będzie rekordowy. Publiczność zobaczy dzieła Jindricha Styrsky'ego, zmarłego w 1942 roku wybitnego malarza czeskiego, jednego z czołowych przedstawicieli surrealizmu. Po raz pierwszy również w Polsce zaprezentuje swoje malarstwo oparte na elementach logicznych i matematycznych — Szwajcar Max Bill, członek Bauhausu. Zobaczymy również ciekawą wystawę grafiki estońskiej. Wydarzeniem artystycznym dużej miary będzie na pewno — również pierwsza w Polsce — wystawa grafiki Jaspera Johnsa, wybitnego twórcy pop-artu. Środowisko plastyczne będzie mogło zapoznać się na wystawie o charakterze laboratoryjnym, z twórczością Alain Jacqueta — francuskiego przedstawiciela sztuki „mec" tj. sztuki produkowanej metodą współprzemysłową z zastosowaniem fotografii i poligrafii.

Z okazji 25-lecia PRL muzeum projektuje dwie wystawy: Jedna o charakterze masowym — to pokonkursowa wystawa plastyków amatorów i twórców ludowych pod nazwą — „Miasto i województwo łódzkie w 25-leciu PRL". Druga dotyczyć będzie 25-lecia Muzeum Sztuki w 25-leciu PRL. Wystawą przedstawi osiągnięcia muzeum oraz najnowsze nabytki.

Tę serię wystaw zamknie przegląd twórczości Henryka Stażewskiego — członka „Bloku" i łódzkiej grupy „a.r.", wybitnego przedstawiciela polskiego konstruktywizmu.

Wystawy sztuki obcej, znanych i cenionych twórców, często już klasyków, byłyby niemożliwe bez inicjatywy i operatywności dyrektora Stanisławskiego i jego pasji uczynienia z Muzeum Sztuki, prężnej i nowoczesnej instytucji kulturalnej na skalę europejską. Tę rangę muzeum dostrzegają wybitni twórcy za granicą, jeśli decydują się wystawiać w Łodzi: i wielkie galerie, jeśli pokrywają znaczną część związanych z wystawami niebagatelnych kosztów.

A trzeba zdać sobie sprawę, że efekty te są osiągane mimo znanych trudności lokalowych, z jakimi boryka się muzeum. Pod względem wielkości powierzchni, łódzkie muzeum zajmuje bowiem dalekie miejsce w kraju i może eksponować jedynie 9 procent swych zasobów. Dlatego wyodrębniony salon wystaw czasowych tylko częściowo zaspokaja te nowe potrzeby. Wynika stąd konieczność okresowego usuwania stałej ekspozycji muzealnej, aby udostępnić miejsce pod eksponaty wystawowe.

I te trudności czynią działalność wystawienniczą jeszcze bardziej wartościową. Już dziś musi cieszyć fakt, że podjęte zostały dobre tradycje zapoczątkowane niegdyś przez łódzką grupę „a.r.", i Strzemińskiego; tradycje aktywnego kształtowania nowoczesnego ośrodka popularyzowania sztuki.

IGNACY GUSTAW ROMANOWSKI

WYSTAWY I AMBICJE

BOHDAN PIĄTKOWSKI

Nowości łódzkiej grafiki

Surowa, zapracowana Łódź nie stanowiła łatwego tematu dla artystów i, przyznajmy to szczerze, nie mogłaby się ubiegać o opinię miasta-mecenasa.

Tym większa jest zasługa cenionego grafika, Teofila Jóźwiaka, który w latach 60-tych wykonał piękną i różnorodną serię rycin przedstawiających najbardziej charakterystyczne łódzkie ulice i zaułki. Osiem prac tworzących ten cykl łączy głębokie umiłowanie rodzinnego miasta. Miłość ta nie idealizuje swego objektu; wygląd domów i ulic oddany jest z całym pietyzmem, co sprawia, że dzieła te można by nazwać naturalistycznymi, niemal fotograficznymi, gdyby nie zachwycały precyzją kreski i doskonałością warsztatową, która cechuje wszystkie prace Jóźwiaka.

Uwagi te odnieść można również do zmniejszonych i ujednoliconych reminiscencji (kopii autorskich), które w formie karnetów przed kilku dniami nabyłem w łódzkim Salonie Plastyków. Przedmiotem tych dzieł, jak wspomniałem wyżej, jest ogólny wygląd ulic z charakterystyczną, secesyjną zabudową. Nie oznacza to jednak, że autor tak dalece dał się porwać wdziękowi „kamieniczek z myszką", aby zapomnieć o najistotniejszym elemencie tego miasta, o starych fabrykach. Reprezentujący je obiekt został wybrany szczególnie trafnie. Surowa, neogotycka brama dawnych zakładów scheiblerowskich nasuwa na myśl skojarzenia z niezbyt odległą historią Raubritterów przemysłu. Jednakże ten symbol odpychającej potęgi został uchwycony w momencie łagodzącym niesamowitość budowli; puszysty śnieg przysypuje mury stwarzając wrażenie nierealnej... i świadomie umownej grozy.

Nie jest także dziełem przypadku, że aż pięć z tych grafik pokazuje Piotrkowską, rdzenny łodzianin nie mógł przecież znaleźć godniejszego punktu niż pryncypalna ulica. Ponieważ wolno mieć nadzieję, że utalentowany artysta będzie kontynuował tę serię, serdecznie prosimy również i o inne, ciekawe pejzaże miejskie. Dziękując za pierwszą, udaną próbę, z całego serca życzymy twórcy (i wszystkim zainteresowanym), aby jak najprędzej powstała teka szlachetnych rycin, jakiej nikt dotąd Łodzi nie poświęcił. A na razie, zarówno miłośnikom miasta, jak i tym pięknoduchom którzy nie umieją, czy nie chcą dopatrzyć się w nim urody i swoistego romantyzmu — serdecznie radzimy, aby udali się do Salonu przy ulicy Piotrkowskiej 86 i popatrzyli, co mogą wyczarować ręka i serce artysty urzeczonego dziwnym, trochę smutnym urokiem starej Łodzi.

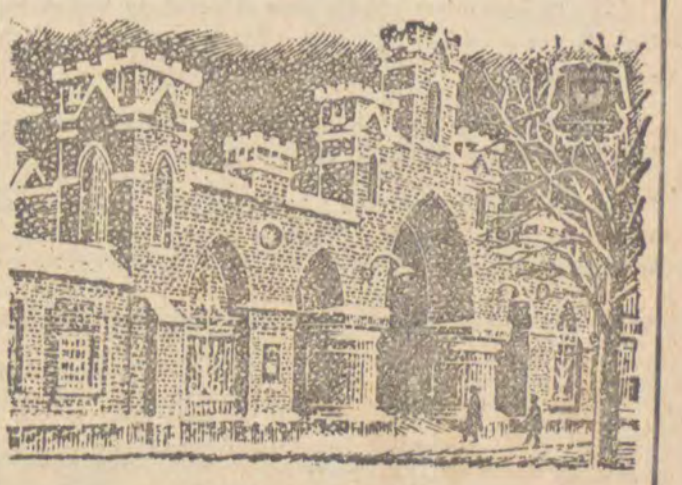

ROMAN ŁOBODA

„Jej dom" w Teatrze Propozycji

„Jej dom" Edwarda Kopczyńskiego, to kolejny debiut sceniczny prozaika.

Analityczno-dyskusyjny pokaz tej sztuki odbył się 6. I. br.

Jest to realistyczna, a nawet naturalistyczna w wyrazie sztuka prościutko zakomponowana, bez pretensji do głębi i bez śladu metafory. Niewyszukana fabuła, szkicowy rysunek postaci i nie najzręczniejszy dialog, to wszystko nie odebrało sztuce siły i sugestywności.

Zadecydował konkret życia, który Kopczyński umiał z ekspresją i prawdą psychologiczno-obyczajową przekazać.

W zasadzie nic nowego. Ona jako żona, matka i teściowa. Jej despotyzm i nie cofająca się przed niczym wola podporządkowywania sobie otoczenia jest tragedią domowników i jej w końcu klęską. Zważywszy pewną przesadę w traktowaniu wątków uczuciowych przy tradycyjnej obróbce tematu i typowości problemu raczej z lat dwudziestych, można by utwór ten skwitować mianem „melodramatu mieszczańskiego", co zresztą kilku z dyskutantów przekonywająco uzasadniało.

Melodramat nic złego — idzie w modę, ale ciekawe że inni dyskutanci dostrzegali w utworze zgoła odmienne cechy. Na przykład dramat władzy. Doszukiwano się zatem w prostym, nie pretendującym do uogólnień utworze dużej metafory, wyrafinowanego symbolizmu.

I tu również trudno było się oprzeć obrazowości wysuniętej sugestii, tym bardziej, że historia żywotów teściowych nie oszczędziła tych — dziś tak poszukiwanych i bez mała anielskich istot — przedstawiając je jako despotów i tyranów równych królom i carom.

Asocjacje dość bliskie, tym bardziej gdy widza teatralnego charakteryzuje historyczny typ wrażliwości.

Współczesna nietypowość teściowej w sztuce Kopczyńskiego nie dyskwalifikuje prawdziwości tej postaci. Takie teściowe, takie i tym podobne układy rodzinne jeszcze istnieją. Autor zatem piętnuje przeżytki nie tak odległego okresu, niekiedy śmieszne, żałosne, ale nadal tragiczne w skutkach.

Wydaje się, że siła i prawda argumentacji zawarta w sztuce dotknęła spraw żywych jeszcze, bolesnych i bardzo ludziom bliskich, szczególnie ludziom starszych pokoleń, czemu dali oni wyraz swoim skupieniem, wzruszeniem i słowem uznania w dyskusji.

Chyba to są argumenty, które na wagę dobrego i złego rzucone przeważają szalę ku temu pierwszemu.

Starałem się przedstawić ten proces „ważenia", sam trzymając kciuki za autora; prawdę bowiem, którą on przedstawił znam również z dość bliskiej obserwacji.

Za najbardziej trafne uważamy te stwierdzenia, których potencjalnymi autorami sami jesteśmy.

Kto to powiedział?

Utwór zaprezentowali zaproszonym gościom artyści scen łódzkich:

Zygmunt Zintel, Janina Jabłonowska, Aleksandra Krasoń, Bohdan Mikuć, Mirosława Maludzińska, Bogusław Sochnacki, Celina Klimczak i Tomek M.

Reżyserował Bohdan Mikuć.

IV OGÓLNOPOLSKI FESTIWAL POEZJI W ŁODZI

Prezydium Rady Narodowej m. Łodzi Wydział Kultury oraz Związek Literatów Polskich — Oddział w Łodzi organizują Ogólnopolski Festiwal Poezji, w ramach którego odbędzie się Konkurs Literacki oraz nagrodzony zostanie najlepszy tom wierszy i zbiór esejów traktujących o poezji.

W celu podkreślenia szczególnego charakteru IV Ogólnopolskiego Festiwalu, odbywającego się w okresie obchodów 25-lecia Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej — organizatorzy Festiwalu ustanawiają nadzwyczajną nagrodę za opublikowany w ostatnim ćwierćwieczu tom poezji o wysokich walorach artystycznych i głęboko humanistycznych treściach, dający wyraz przeobrażeniom w Polsce Ludowej.

I. WARUNKI KONKURSU

1) Podczas trwania Festiwalu nagrodzony zostanie opublikowany w okresie 25-lecia PRL tom poezji o wysokich walorach artystycznych i głęboko humanistycznych treściach, dający wyraz przeobrażeniom dokonanym w Polsce Ludowej.

2) Festiwal obejmuje konkurs otwarty dla poetów wszystkich pokoleń na niepublikowany utwór poetycki (wiersz, poemat).

3) Podczas trwania Festiwalu nagrodzony zostanie najlepszy tom poezji za rok ubiegły oraz najlepszy zbiór esejów traktujących o poezji, wydany również w ubiegłym roku.

4) Ponadto zaproszeni uczestnicy Festiwalu nagrodzą jeden spośród 3 wytypowanych przez jury utworów, nadesłanych na konkurs.

II. NAGRODY

Przewiduje się następujące nagrody:

1) Za tom poezji o wysokich walorach artystycznych, a przede wszystkim głębokich treściach humanistycznych, dający wyraz przeobrażeniom dokonanym w Polsce Ludowej. nagroda nadzwyczajna w wysokości — 15.000 zł.

2) W konkursie na najlepszy utwór poetycki

jedna I nagroda w wysokości — 5.000 zł

dwie II nagrody po — 3.000 zł każda

trzy III nagrody po — 2.000 zł każda

3) Za najlepszy tom wierszy oraz za najlepszy tom esejów traktujących o poezji, przyznane zostaną nagrody po 10.000 — zł każda.

4) Nagroda zaproszonych uczestników Festiwalu za wybrany wiersz w wysokości — 3.000.— zł.

Sąd konkursowy zastrzega sobie prawo nieprzyznania, względnie innego podziału którejś z nagród przewidzianych w części II, pkt. 2, 3, 4.

III. SĄD KONKURSOWY

O przyznaniu nagród decyduje co najmniej 11-osobowy Sąd Konkursowy, składający się z wybitnych poetów i krytyków oraz przedstawicieli organizatorów Festiwalu. Imienny skład jury zostanie ogłoszony w późniejszym terminie.

IV. WARUNKI NADSYŁANIA UTWORÓW

Utwory poetyckie zaopatrzone w godło autora z oddzielnie dołączoną kopertą, w której znajdować się winien dokładny adres autora oraz jego imię i nazwisko, należy nadsyłać w 3 egzemplarzach maszynopisu na adres Wydziału Kultury Prezydium Rady Narodowej m. Łodzi, ul. Piotrkowska 104, do dnia 15 marca 1969 roku. W przypadkach wątpliwych decyduje data stempla pocztowego. Nadesłanych utworów, organizatorzy Festiwalu nie zwracają. Rozstrzygnięcie Konkursu nastąpi w dniu 26 kwietnia 1969 roku.

spektakle tygodnia

spektakle widzów proc.

TEATR WIELKI			
„Cyrulik sewilski"	2	2520	100
NOWY			
„Dziś do Ciebie przyjść nie mogę"	4	2800	100
„Czerwone pantofelki"	2	1200	90
„Rewizor"	2	1200	90
MAŁA SALA			
„Księżyc świeci nieszczęśliwym"	1	200	100
„Bliski nieznajomy"	3	600	100
POWSZECHNY			
„Taniec śmierci"	3	1500	78
„Rzecz listopadowa"	1	600	100
„Kawior i kaszanka"	2	1320	100
im. JARACZA			
„Niemcy"	5	3165	100
TEATR ZIEMI ŁÓDZKIEJ			
„Fircyk w zalotach"	6	1247	75
„Mieszczanie"	7	2208	100
FILHARMONIA			
symfoniczne koncerty	2 spektakle	718 słuch.	50
poranek symfoniczny	1 spektakl	722 słuch.	100

W następnym numerze „Odgłosów" czytajcie:

- „PÓKI JEST MIŁOŚĆ" Bogdy Madej
- „LUDZIE, RATUNKU!" Eugeniusza Iwanickiego
- „TKALNIE BEZ PYŁU" Władysława Huzika
- „CZAS TO PIENIĄDZ" Krzysztofa Pogorzelca

PÓŁKA z książkami

TWÓRCY CYWILIZACJI

Są książki wybitne, które nie zostały zauważone. Wydaje się, że do takich pozycji należy wydana na schyłku roku minionego obszerna praca angielskiego autora L. Sprague de Campa „Wielcy i mali twórcy cywilizacji" w tłumaczeniu Bolesława Orłowskiego. Już dawno zauważono, że Anglicy posiadają dar jasnego wykładania rzeczy. Przykładem szczytowym może być Bertrand Russell, który zdumiał czytelników pięknym i zrozumiałym językiem swoich publikacji.

Podobnymi cnotami odznacza się również L. Sprague de Camp. Jego książka „Wielcy i mali twórcy cywilizacji", napisana jasno i przejrzyście, opowiada dzieje cywilizacji, dzieje wynalazków i budowniczych od czasów najdawniejszych do epoki Leonarda da Vinci. Książka daje przegląd i pogląd na to, jak człowiek ulepszał i udoskonalał świat i swoje własne życie, jak budował zegary i instrumenty, narzędzia śmierci i piękne kopuły świątyń, w jaki sposób dochodził do wielkich i małych wynalazków.

Liczne ilustracje w tekście wzbogacają tę cenną i zasługującą ze wszech miar na uwagę książkę. Tłumacz, Bolesław Orłowski, dopisał rozdział o dawnych inżynierach polskich, co stanowi istotne uzupełnienie całości.

Książkę poleciłbym wszystkim, głównie jednak ludziom młodym, naszym przyszłym inżynierom, budowniczym i wynalazcom.

jk.

L. Sprague de Camp: „Wielcy i mali twórcy cywilizacji", Wiedza Powszechna, Warszawa 1968.

CIEKAWE WSPOMNIENIA

Stanisław Lam, autor pamiętnika „Życie wśród wielu", był historykiem literatury, dziennikarzem, krytykiem literackim, redaktorem (m. in. „Tygodnika Ilustrowanego") oraz wydawcą. Prowadząc tak czynne życie musiał stykać się z wieloma pisarzami, artystami i w ogóle ludźmi sztuki, dzięki czemu w jego wspomnieniach roi się od opisu spotkań i rozmów z nimi.

„Życie wśród wielu" obejmuje znaczny obszar czasu, bo lata 1891—1939. Autor rozpoczyna swoje wspomnienia od własnego dzieciństwa i utrwalonego w pamięci pogrzebu Stanisława Wyspiańskiego, opisuje przedstawienia jego dramatów na scenie, życie kulturalne Krakowa, Lwowa a następnie Warszawy. Stanisław Lam, pochodzący ze znanej rodziny polskiej (pisarz Jan Lam był jego stryjem), był uczestnikiem i świadkiem wielu poczynań literackich i wydawniczych na przestrzeni długich lat, co pozwoliło mu odtworzyć znakomicie klimat swojej epoki. Wspomnienia, spisane u schyłku życia, w dodatku z dala od kraju, na emigracji, zawierają ogromną ilość szczegółów, faktów i facików a ludzi wśród nich tak wiele, że trudno ich wszystkich spamiętać.

„Życie wśród wielu" jest dokumentem, uzupełniającym w sposób istotny naszą wiedzę o kulturze i literaturze lat minionych, zwłaszcza z okresu dwudziestolecia międzywojennego. Czyta się te wspomnienia z dużym zainteresowaniem, tym więcej, że autor obdarzony doskonałą pamięcią, potrafił okrasić je anegdotą i ciekawymi przykładami. A wszystko to rzucone na tło życia autora, który pracą i działalnością swoją zasłużył się wielce dla rozwoju kultury polskiej.

jk.

Stanisław Lam: „Życie wśród wielu", przygotował do druku Andrzej Lam, PIW, Warszawa 1968.

Żuk żyletkę jak zwykły suchar...

Współczesna Afryka — to Afryka wielopiętrowych gmachów, asfaltowych szos, fabryk, wielkich plantacji, Afryka technokratów, dyplomatów i najemników. Taką znam już od wielu lat, stale mnie urzeka, nęcą mnie jej wciąż nowe i nowe tajemnice.

Tym razem postanowiłem poznać ją głębiej, przeniknąć poza mur, który ukrywa całkiem inny świat, nie skażony demoralizującym wpływem Zachodu. Świat niespokojny i oszałamiający, rządzony prawami, które nam trudno zrozumieć. Świat, który wydaje się prehistoryczny, świat czarowników i magów.

O jednym z nich usłyszałem, podróżując po Kamerunie. Mówiono mi, że to cudotwórca „wysokiego lotu", który bezinteresownie leczy trędowatych, uzdrawia chorych na krzywicę i febrę. Dowiedziałem się też, że należy do sekty „ludzi lam partów". Niebawem, dzięki uprzejmości i pośrednictwu króla jednej z tamtejszych prowincji, pozwolono mi na spotkanie z czarownikiem. Fong, tak się nazywał ów król, mój „protektor", okazał się człowiekiem inteligentnym, nieźle mówiącym po francusku Miał 170 żon. Długo mnie wypytywał, co też sądzę o afrykańskich czarownikach. Wreszcie, zaspokoiwszy widać swoją ciekawość, powiadomił mnie, iż interesujący mnie czarownik przebywa dwa kilometry od osady.

WĘDRUJĄCA DUSZA

I tak oto udałem się pieszo na spotkanie z Suop Kamdam Tefonwa. Byłem przekonany, iż ujrzę człowieka ponurego, z oznakami udręczenia na twarzy, prawie fakira. Jednak Tefonwa okazał się mężczyzną wesołego usposobienia, o twarzy okrągłej, jak księżyc, na wargach igrał mu miły uśmiech. Był uosobieniem radości życia. „Pałac" Tefonwa świadczył o jego potędze. Do obszernego szałasu, w którym miał cztery pomieszczenia, przylegało kilka mniejszych chat — dla żon i dzieci. W oborze, będącej „salą szpitalną", umieszczano chorych na „zamroczenie rozumu". Byli przywiązani do słupów. Gdy chciałem ich policzyć, Tefonwa poinformował mnie, że liczba jego chorych sięga niekiedy pięćdziesięciu osób.

Pierwszego dnia mój gospodarz właściwie niczego mi nie pokazał. Obserwował mnie. Siedziałem w jego „poczekalni" podziwiałem liczne czaszki i rogi zwierząt porozwieszane na ścianach, a Tefonwa bez przerwy zadawał mi pytania. W drzwiach raz po raz ukazywała się jakaś ciekawska twarz i zaraz znikała.

— Czy przyniosłeś podarunki? — spytał przez tłumacza.

Pokazałem mu nożyczki, aluminiowy garnuszek i lupę. Poznałem po jego wyrazie twarzy, że szkło powiększające widział już wcześniej, niemniej z prezentów zdawał się być zadowolony. Od tej chwili staliśmy się przyjaciółmi. Otrzymałem prawo asystowania na wszystkich seansach zaklinania, na które wkładał przeróżne i niepraw dopodobne stroje i ozdoby. Chciał mi zaimponować. Przyznaję, iż z uprawnień korzystałem nader szeroko, wykonując mnóstwo zdjęć fotograficznych. Niestety, wiele z nich pozostanie w archiwum, bowiem Tefonwa podczas zaklinania wykonywał nieraz takie czynności i używał takich rekwizytów, iż pokazanie ich utrwalonych na kliszy ubliżyłoby niechybnie naszym dobrym obyczajom.

Tefonwa powiedział mi, że leczy wszystko, ale specjalizuje się w psychiatrii. Centralne miejsce w jego praktyce medycznej zajmowała „dusza". Należy w tym miejscu wyjaśnić, iż większość tradycyjnych, afrykańskich wierzeń opiera się na animizmie: kiedy człowiek śpi, jego „dusza" opuszcza ciało i błądzi po szerokim świecie, umiejscawiając się „czasowo" w zwierzętach, na przykład w lamparcie. Dlatego żaden Afrykańczyk, wyznający animizm, nigdy nie zbudzi was gwałtownie ze snu, w obawie, czy aby „dusza" zdąży na czas powrócić do was z nocnej wędrówki. Jeśli „dusza" się spóźni, następuje „utrata rozumu", czyli obłęd.

Niemal wszyscy chorzy w „sali szpitalnej" mają pęta na nogach i są przywiązani do słupów, potykają się więc, lub leżą w kurzu obory. Są spokojni i ulegli. O świcie pozwolono mi zajrzeć do chorych. Za mną idzie uroczysty Tefonwa. Stajemy w środku pomieszczenia. Tefonwa każe przynieść ogromny róg antylopy, napełniony piwem z kukurydzy. Upiwszy trochę, podaje mi róg, żebym też pociągnął tradycyjny łyk. Następnie, trzymając w rękach bambusowy flet, zaczyna na nim wygrywać rytualną melodię, tańcząc wokół mnie i przytupując. Nagle urywa dziwnym akordem i wydaje długi przejmujący okrzyk. Wszyscy asystujący w ceremonii wychodzą, zostaje tylko Tefonwa, ja i chorzy „przykuci" do „łóżek"...

CUDOWNY BŁYSK

Określiwszy na oko symptomy choroby, Tefonwa wrzuca do kotła z wodą przeróżne przedmioty i miesza je specjalnym kawałkiem drewna. Jest tam trochę ziemi, drzazg i sęczków Wykonując tę czynność, czarownik milczy, zastanawiając się głęboko nad ostateczną diagnozą i sposobem leczenia. Chory cierpliwie czeka. Tefonwa przyjmuje właśnie starszą już kobietę. Sądzi ona, iż padła ofiarą maga. Sprawa jest widać dość poważna, bowiem we trójkę kierujemy się do chaty z fetyszami. Ciemno tu, jak w grobowcu. W drodze wyjaśnia mi, że do tej chaty przyprowadza wyłącznie ciężko chorych, ponieważ tutaj skupia się potęga dobrych sił. Czarownik kuca przed

JERZY WILMAŃSKI

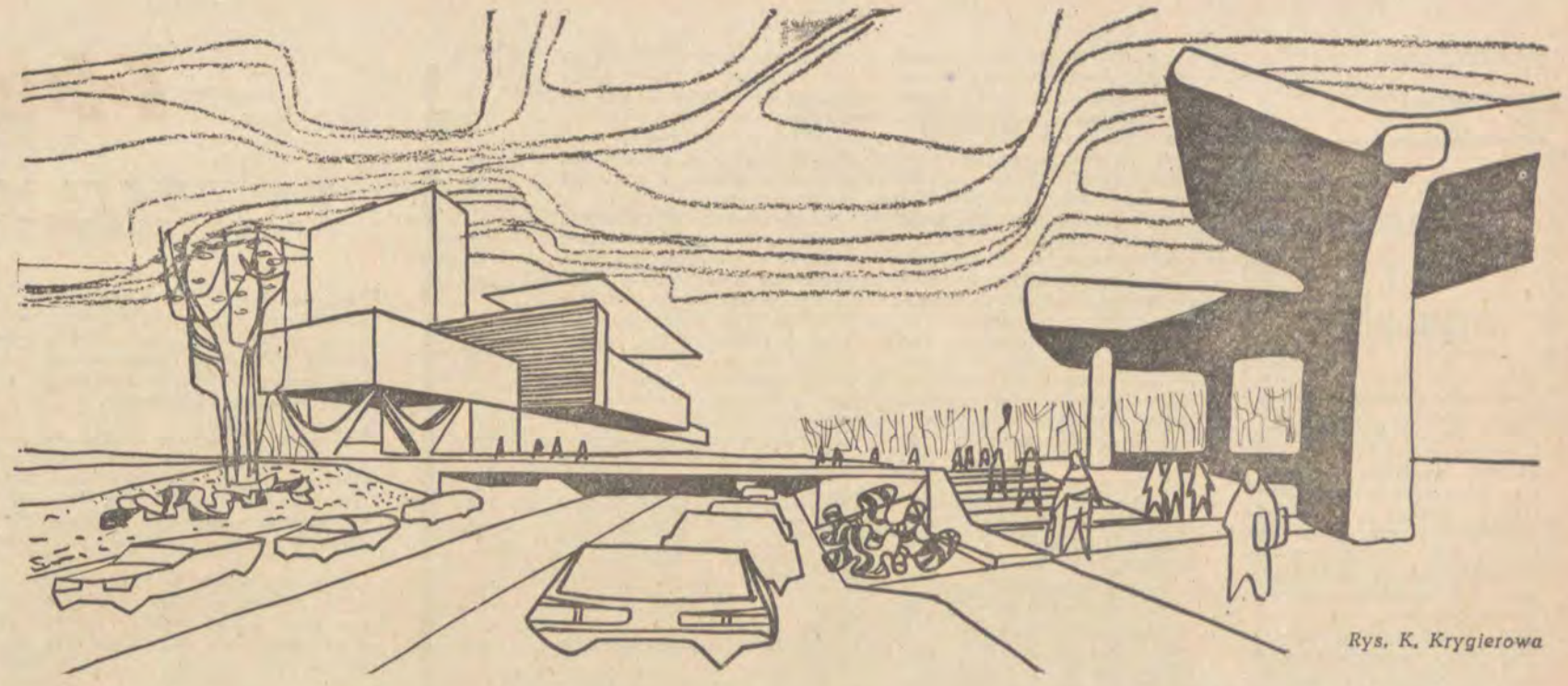

Rys. K. Krygierowa

Miasto na retkińskich polach

Zacząć należałoby od prostej informacji sygnalizowanej już przez prasę: „w Łodzi projektuje się nowe osiedle mieszkaniowe na Retkini". Aleśmy strasznie zhardzieli — „jeszcze jedna nowa dzielnica? — powiemy — No to cóż?"; tyle się w Łodzi i kraju buduje, że żadna nowa dzielnica nie robi już na nas wrażenia...

Więc może zacząć od tego, że dwa zespoły urbanistów i architektów „Miastoprojektu" opracowały dwie wersje retkińskiego osiedla w tempie bijącym wszelkie światowe rekordy? „No i co z tego" — powie czytelnik. Przyzwyczailiśmy się już do roboty wykonywanej „na wczoraj", że i to wrażenia nie czyni... A że nową Retkinię zamieszka 100 tysięcy mieszkańców?

Łódź, wolno lecz zdecydowanie dobija do miliona — cóż dla nas znaczą te drobne 100 tysięcy! A jednak...

Sto tysięcy mieszkańców — to już właściwie nie dzielnica, to miasto wielkości Białegostoku lub Torunia, albo dwa miasta wielkości Pabianic... Odwołajmy się jednak lepiej do lat nie tak odległych. Pamiętacie Nową Hutę? Śpiewano o niej piosenki, pisano wiersze i książki. Na szczerym polu, na terenie wsi Mogiła powstawało wówczas miasto-dzielnica. Też stutysięczne. Pamiętacie Nowe Tychy? Ileż to reportaży, artykułów i filmów powstało z okazji rozbudowy starych Tychów? To też była budowa „stutysięczna". A Retkinia? „Normalka" — powiedzą Polacy lat sześćdziesiątych. Naprawdę zhardzieliśmy.

Wyjdźmy zresztą za opłotki, może gdzie indziej na świecie projektowanie i budowa stutysięcznego osiedla to nie taka znów „normalka"? Warszawskie osiedle Ursynów, nieco ponad stutysięczne — powstanie w oparciu o wyniki ogólnopolskiego konkursu ogłoszonego przez Towarzystwo Urbanistów Polskich. Na Warszawie świat się nie kończy — wielkie konkursy urbanistyczne na osiedla miejskie dotyczą właśnie dzielnic 80—100 tysięcznych. Bratysława na przykład ogłosiła ś w i a t o w y konkurs na taką właśnie dzielnicę — efektem było ponad 300 nadesłanych prac.

Piszę o tym bez żadnych ukrytych myśli i podtekstów, nie wrzucam kamyków do niczyjego ogródka... Po prostu tak jest gdzie indziej. U nas dwa zespoły architektów opracowały dwie — bardzo interesujące — wersje projektowe w czasie... Nieważne zresztą w jakim czasie, był to jednak swego rodzaju rekord światowy.

A oto dramatis personae: Pracownia VI „Miastoprojektu" inżynierowie architekci **Krystyna Krygier, Tadeusz Sumień, Szymon Walter** plus kilkuosobowy zespół. Pracownia VII „Miastoprojektu", inżynierowie architekci **Zdzisław Lipski, Jerzy Sadowski, Jakub Wujek** plus kilkuosobowy zespół.

Tak więc osiedle powstanie jak się już rzekło — na Retkini. „Cholernie daleko" — powiedzą czytelnicy. Zanim sobie zdążyłem to samo pomyśleć, inżynier Wujek wziął linijkę i jeden jej koniec przyłożył na planie Łodzi do ul. Traugutta. „Załóżmy, że tu właśnie, w rejonie „Grand Hotelu" jest centrum Łodzi" — powiedział. „Zakładam" — odrzekłem. Linijka zatoczyła krąg i zatrzymała się na Placu Niepodległości. Odczytałem odległość — 17 centymetrów. Potem linijka przesunęła się dalej w kierunku Retkini na teren projektowanego osiedla. Odległość od centrum — 17 centymetrów. Więc nie tak daleko...

Oczywiście Czytelnik zakrzyknie w tym miejscu — „panie, takie numery nie dla nas, przecież ludzie nie mają skrzydeł". Wiem. Wiedzą to również projektanci. Piotrkowską do „Uniwersalu" jedzie się autobusem około dziesięciu minut, na Retkinię z przesiadkami i tramwajem telepiemy się godzinę... Dlatego też problem komunikacji jest jednym z podstawowych kłopotów obu zespołów. Wiem jednak również, że trick inżyniera Wujka z linijką i planem miał na celu udowodnienie, że odległość jest rzeczą względną, że determinuje ją sieć miejskiej komunikacji, że w przekonaniu o peryferyjności Retkini jest trochę mitologii.

Spróbujmy Retkinię bardziej dokładnie zlokalizować. Łodzianinowi wystarczy jeśli powiem — osiedle powstanie za Karolewem w kierunku Smulska i Srebrnej. Z jednej strony dotykać będzie Ogrodu Botanicznego a dalej, prawie sięgnie ulicy Konstantynowskiej, z drugiej zaś dotrze do ulicy Balonowej czy aż do Pienistej. Są bowiem różnice w obu wersjach. Zespół VI zaprojektował osiedle bardziej wydłużone (ok. 3 km), pozostawiając wolne tereny między Balonową a torami PKP — po drugiej zaś stronie torów przewidziano tereny dla zabudowy jednorodzinnych domków. Zespół VII natomiast widzi swe osiedle bardziej w planie zbliżone do kwadratu — rejon torów PKP tak że ma być zabudowany, bowiem kolej biegnie tam w wykopie i — jak twierdzi inżynier Lipski — nie stanowi zakłócenia spokoju mieszkańców.

Różnice są także w rozwiązaniu komunikacji. „Siódemka" projektuje na przykład dwa ciągi przez osiedle co przy „kwadracie" jest uzasadnione i konieczne. Pracownia VI inaczej. Inżynier Walter pokazuje na makiecie: „osią Retkini będzie linia komunikacyjna szybkobieżnego tramwaju oraz autobusu, ponadto pierścieniem wokół osiedla biec ma dodatkowa linia autobusowa".

Nie bawmy się jednak w wyliczankę różnic, bo nie o to chodzi. Oba zespoły pracowały na takich samych założeniach, oba zespoły borykały się z podobnymi problemami, oba musiały pokonać podobne trudności.

Mówmy więc o stutysięcznym osiedlu na Retkini bez rozdzielania urbanistycznego włosa na czworo. Będzie to zatem dzielnica (miasto?) nie tylko samowystarczalna pod względem usług w najszerszym pojęciu tego słowa... Choć to tylko może już stanowić nie byle jaki ewenement w Łodzi, gdzie jak wiemy na dotychczas budowanych osiedlach musiał nieraz wystarczać jeden kiosk spożywczy na 10 tysięcy mieszkańców. Samowystarczalność i integralność to nie tylko odpowiednia sieć sklepów i zakładów usługowych — to także specyficzny styl osiedla, to przewidziana przez projektantów możliwość ukształtowania się „deptaku", miejsc spacerowych, osiedlowego city... Jedni widzą tu rozwiązanie typowo łódzkie — na kształt „mini-Piotrkowskiej" wzdłuż osi komunikacyjnej osiedla, inni większe znaczenie przywiązują do „rynku" — osiedlowego forum z alejami i kawiarniami. Niewazne są szczegóły i różnice — ważne, że o tym pomyślano, że przy rajzbretach urbanistów oprócz fachowej wiedzy nie zabrakło tego zwykłego człowieka, który na Retkini będzie mieszkał. Ważne, że w urbanistycznej wizji, wśród normatywów, założeń i wyliczeń nie zabrakło tego człowieka, który w letnią niedzielę będzie mógł pójść zielonym traktem z Retkini aż na Zdrowie...

Zresztą i normatywy były łaskawe. Osiedle — jako jedno z pierwszych — skorzysta już z tzw. nowego normatywu samochodowego, przewidującego 150 miejsc parkingowych na 1000 mieszkańców. No cóż — produkcja polskiego „Fiata" idzie pełną parą — za lat kilka będzie go można kupić nie tylko za dolarowe bony lecz i za złotówki; „Syrena" unowocześnia karoserię... Przeciętny „samochodziarz" będzie miał do garażu czy na parking zaledwie 150—200 metrów. Dwieście metrów! Mój znajomy mieszkający przy Mickiewicza opowiadał, że udało mu się wynająć garaż niedaleko Radiostacji. „Wspaniały punkt — zachwycał się — mam bardzo dogodne połączenie tramwajem".

Za trzy lata — w roku 1971 — na retkińskich polach dźwigi budowlane rozpoczną ustawianie ŁSM-ów. Ruszy wielka budowa, wielkie go osiedla... Czy dużego miasta? Przecież powstać ma tu i hotel i ośrodek sportowy ze stadionem i kino i Dom Kultury, targowisko nawet i ogródki działkowe oddzielające osiedle od projektowanej dzielnicy przemysłowej Smulsko — Srebrna...

Kiedy się patrzy na plan Łodzi, kiedy w kwadracie E-5 odnajdujemy ulicę Mickiewicza, którą pobiegnie tramwaj w kierunku Karolewa, kiedy w sąsiednich kwadratach odnajdujemy osiedla na Nowym Złotnie, Wielkopolską, Teofilów — zaczyna nam się coraz bardziej zarysowywać budowlany pierścień obejmujący Łódź. Pierścień, którego konsekwencją urbanistyczną jest Retkinia. Odrzućmy na moment empiryczną wędrówkę tramwajem przez miasto z Teofilowa na Karolew — spójrzmy przez pryzmat planów. Ten łańcuch osiedli — dziś jeszcze stanowiący luźne ogniwa, nanizany będzie w przyszłości na przelotowy trakt komunikacyjny łączący Teofilów, Koziny, Złotno, Retkinię, Rokicie... Stutysięczne osiedle, które w międzyczasie wyrośnie na retkińskich polach, nie będzie wówczas „na końcu świata". Czarodziejską linijkę urbanisty zakreślającą krąg na planie miasta zastąpią pospieszne autobusy.

Za trzy lata koparki i dźwigi zawarczą na Retkini — stalowe ramiona podniosą pierwsze betonowe elementy domów, aby na stałe wmontować je w przedmiejski krajobraz. I nikt nie napisze „Początku opowieści", nikt nie ułoży piosenki, w której słowa: „ty w lipcowe noce nam się śnisz..." Ćwierć wiecze nauczyło nas rozmachu, tempa i realizacji zawrotnych planów. Zhardzieliśmy bardzo, ale jest to hardość sympatyczna bo gospodarska.

---

kupką czerwonawego popiołu i zaczyna go rozdmuchiwać. Kobieta przysiada obok, ja zatrzymuję się w progu. Po chwili bucha płomień i w jego blasku dostrzegam fetysze, ustawione wokół ogniska. Po zaklęciach Tefonwa daje chorej lekarstwo — brunatny płyn, specjalnie dla niej przygotowany. W tym momencie robię zdjęcie i „strzelam" lampą błyskową. Przerażona kobieta rzuca się ku wyjściu, ale zatrzymuje się wpół drogi i wybucha śmiechem. Mówi, że czuje się już znacznie lepiej. Tefonwa przerażony nie mniej, niż jego pacjentka, szybko się reflektuje, zbiera kawałki szkła od lampy, którą wyrzuciłem na ziemię, zakładając nową, i wręcza je chorej. Magiczny lek znaleziony! Oto idea! Chora czuje się całkiem dobrze.

Byłoby niesprawiedliwe nazywać go zwykłym szarlatanem; Tefonwa umie tylko wykorzystać sprzyjające mu okoliczności. Zna całą masę leczniczych ziół, w swojej „aptece" przechowuje ich około dwóch ton! Wie, kiedy je zbierać i jak przechowywać, żeby nie straciły leczniczych właściwości. Orientuje się, jakie rośliny są trujące i ma na nie odtrutki. Wziąłem ze sobą dwa grube tomy traktujące o ziołach leczniczych i prosiłem Tefonwę, żeby mi pokazał, jakie zioła używa do leczenia określonych chorób. Chciałem to skonfrontować z opisem właściwości ziół leczniczych w podręcznikach. To mu się bardzo nie podobało. Jeśli chcę poznać jego tajemnice — powiedział przez tłumacza — muszę zapłacić, dużo zapłacić!

Po czterech dniach rozstałem się z Tefonwą. Król Fong przyjął mnie uprzejmie, pokazał mi swój skarbiec — chatę, której wewnętrzne ściany były zawieszone skórami lampartów. Według miejscowych wierzeń, lampart jest sobowtórem króla, którego „dusza" podczas nocnych wędrówek, może się umiejscowić w lamparcie. „Królewskie" lamparty przebywają w rezerwacie, niedaleko osady. Gdy lampart usiłuje uciec z rezerwatu, zabija się go, a król — zgodnie z wierzeniami — umiera. Zdarzało się wprawdzie, że jednak król przeżył swego sobowtóra. W takiej sytuacji, królewscy krewni obowiązani byli go zabić, gdyż król bez sobowtóra nie może władać siłami nad przyrodzonymi. Teraz ten zwyczaj powoli zanika.

CZY UMIEM ŁYKAĆ ŻYLETKI?

Po pewnym czasie znalazłem się w małej wiosce niedaleko od Fort-Lama, w republice Czad. „Prakykował" tam słynny „czarownik-muzułmanin". Nim zdążyłem się zorientować w jego talentach, już usiłował poddać mnie próbie:

— Pod moim nadzorem połkniesz żyletkę — powiedział.

Przyznam, że ta nieoczekiwana propozycja trochę mnie zaskoczyła.

— Ależ ja jestem nie wierzący — zaoponowałem energicznie. — A ponadto, ostrze żyletki może mi zranić jamę ustną, przełyk i inne organa wewnętrzne. Nie wierzę — przekonywałem go namiętnie — że by ze mną taka próba się udała...

Czarownik uśmiechnął się z politowaniem: — To przyprowadź któregoś z twoich przyjaciół, który by w to uwierzył.

Pomyślałem, że najlepiej obrócić wszystko w żart. Powiedziałem więc, że taki sposób powitania jest mi dobrze znany. Że w Europie, przez pewien czas, wprost przepadano za łykaniem żyletek, ale na prowincji i że teraz wyszło to już z mody.

— Być może — odpowiedział z niezmąconym spokojem — Ale u was była to tylko chytrość, szyta białymi nićmi. Wasi szarlatani tępią ostrza żyletek, albo po prostu zastępują je kawałkami plastiku! Używają różnych sposobów, żeby tylko uchronić przełyk od skaleczenia. Kup zwyczajną żyletkę. Sam połóż ją na języku twego przyjaciela, jeśli w ogóle znajdziesz takiego, który zechce wziąć udział w takim eksperymencie...

Strzał był celny, ale na szczęście nie z fuzji, więc nie upadłem. Nagle przypomniałem sobie o moim kierowcy Amadunie. Będąc prawowiernym muzułmaninem, przez cały czas naszej podróży, ani razu nie zapomniał odmówić modlitwy do Allacha.

Powiedziałem mu o tej kłopotliwej sytuacji i Amadun zgodził się być moim asystentem. W Fort-Lamie kupiliśmy paczkę żyletek i poszliśmy do czarownika. Ten, nie zwlekając zabrał się sumiennie do dzieła. Na niewielkiej tablicy napisał kredą krótką formułę zaklęcia, następnie wrzucił ją do miednicy z wodą. Zauważyłem, że kreda nie rozpuściła się w wodzie. Amadun wypił wodę z miednicy i od tej chwili znalazł się już pod opieką „czarnej magii". Teraz czarownik powiedział, żebym położył żyletkę na języku mego odważnego kierowcy...

„Zaklęty" Amadun nie spuszczał oczu z twarzy czarownika i zaczął powoli żuć żyletkę, jakby to był, ot taki sobie, zwyczajny suchar. Słyszałem wyraźnie, jak chrupała mu w zębach. Po zgryzieniu żyletki przełknął ją i otworzył usta. Z mieszanymi uczuciami przerażenia, zdumienia i ciekawości spojrzałem na jego język. Dostrzegłem jedynie maleńkie zadraśnięcie, i nic ponadto. Podniebienie i wewnętrzna strona policzków były nie naruszone!...

Później, gdy opowiadałem o tym znajomemu lekarzowi, który już od wielu lat praktykował w Kamerunie, wcale się nie zdziwił.

— Chciałby pan sobie wyjaśnić to zjawisko? — spytał. Najprawdopodobniej działa tu autosugestia. Jednak w żadnym podręczniku neuropsychiatrii nie znajdzie pan naukowego wyjaśnienia autosugestii. Nauka wie tylko tyle, że niektóre stany hipnozy mogą wywołać takie zjawiska psychiczne, które, prawdopodobnie, można by wyjaśnić fizyko-chemicznymi, elektrycznymi lub jeszcze innymi procesami, zachodzącymi w mózgu człowieka. Efekty autosugestii nigdy nie były sprawdzane w warunkach laboratoryjnych.

W Afryce można też niekiedy spotkać obrzędy „czarnej mszy". Ostatnio dużo się pisze o „Chrystusie z Oiingo", w Nigerii. No, cóż, współczesna Afryka jest pełna kontrastów. W tym nieustannie wrzącym kotle ścierają się stare i nowe wyobrażenia o życiu, wiekowe przesądy i najbardziej przodujące idee współczesnej nauki. Wre walka pomiędzy „modernizmem", w najlepszym tego słowa znaczeniu, a głęboko zakorzenionymi tradycjami religijnymi. Od wyników walki pomiędzy starym i nowym zależą losy milionów Afrykanów. Walka o niepodległość pomogła im uwolnić się od największej tragedii tego kontynentu — kolonializmu. Kolejny etap tej walki — to wyzwolenie intelektualne. (Tłum. W. St.)

WŁADYSŁAW ORŁOWSKI

Danse macabre

Istnieje żelazny repertuar klasyki dramatycznej, do którego na mocy nie pisanej umowy teatry stale powracają. Każde wznowienie Szekspira, Ibsena, czy Czechowa nie wymaga osobnego uzasadnienia. Korzystają one z generalnej akceptacji społecznej.

Błędem byłoby jednak sądzić, że każda epoka nie dokonuje weryfikacji spuścizny przeszłości i nie odsyła pewnych dzieł i pewnych autorów na półki archiwalne. Sięgnięcie ponowne po utwór spoczywający już na półce jest nadal możliwe, ale nie na podstawie ogólnego moratorium. Trzeba wtedy każdorazowo udowodnić, że nie chodzi o handel starzyzną, tylko o wypowiedź treści współczesnych w oparciu o stary tekst.

Augusta Strindberga gra się u nas jeszcze od czasu do czasu, ale najczęściej na zasadzie pewnej inercji. Grało się go przed trzydziestu laty, można zagrać i dziś. Tymczasem twórczość tego pisarza, który wycisnął tak silne piętno na tzw. modernie pierwszego ćwierćwiecza naszego stulecia, na ekspresjonistach i wyznawcach teatru okrucieństwa, którego Tomasz Mann nazywa pierwszym nadrealistą — nie mieści się we współczesnym repertuarze teatralnym w sposób oczywisty.

Jesteśmy świadkami ambitnej próby aktualnego odczytania „Tańca śmierci" Strindberga przez reżysera Aleksandra Strokowskiego w Teatrze Powszechnym. Na obraz życia teatralnego miasta przedstawienie to kładzie się żywą, choć niepokojącą, plamą barwną. Ale czy zadaniem sztuki nie jest budzić niepokój?

Już pierwsze podniesienie kurtyny wskazuje, że — jak mówi Pascal — „to należy do innego porządku". Zamiast zagraconego wnętrza mieszczańskiego pokoju, jakiego się spodziewaliśmy, oglądamy dekorację otwartą, o nieokreślonych granicach między domem mieszkalnym i jego skalnym otoczeniem.

Scenograf Maria Horbaczewska zagospodarowała scenę na wzór hagiograficznego malarstwa Carpaccia, mistrza weneckiego z epoki Renesansu, którego uważa się dziś za prekursora surrealizmu. Przedmioty i rekwizyty nagromadzone na scenie, łącznie z rozsianymi czaszkami ludzkimi i zwierzęcymi, spełniają obok funkcji dosłownej — rolę znaków w alfabecie intelektualnych skojarzeń, który reżyser pragnie widzowi narzucić. Całość utrzymana w szarej tonacji popiołu, czy wypalonego żużlu, może zaczerpniętej z kolorytu obrazów samego Strindberga, który był także malarzem.

A więc już pierwszy rzut oka na dekorację jest wyraźnym sygnałem, że reżyser nie chce zakotwiczyć przedstawienia w realiach Strindbergowskiej epoki i Strindbergowskiego teatru.

Przez długie, nieznośnie długie sekundy panuje na początku przedstawienia milczenie. A potem Edgar i Alicja rozpoczynają dialog — banalny, niepotrzebny, prowadzony przez aktorów w ten sposób, jakby pytania i odpowiedzi nie zazębiały się ze sobą i nie zdążały do jakiegokolwiek porozumienia. To drugi po scenografii sygnał innego odczytania Strindberga.

Można z pewnością dyskutować z reżyserem na temat czytelności jego intencji, ale co do jednego z góry się z nim zgadzam. „Taniec śmierci" odegrany dziś w kategoriach wyolbrzymionej przez Strindberga do monstrualnego wymiaru walki płci — trąci wydumaniem i anachronizmem. Ekshibicjonizm autora nie bardzo już nas interesuje.

Co stanowi dla Strokowskiego oś przedstawienia, skoro walkę płci odesłał słusznie do panopticum? Chyba sadystyczna i masochistyczna jednocześnie gra, jaką toczą ze sobą od dwudziestu czterech lat Kapitan i jego żona. Między tym dwojgiem nic nie jest prawdą, nie ma manifestacji autentycznych uczuć. Jest tylko bezlitosne udawanie, obliczone na upokorzenie partnera, zadanie mu ciosu i obserwowanie z satysfakcją jego skutków.

U prażródła tego straszliwego, a przecież nierozerwalnego związku legły niespełnione aspiracje życiowe, niechęć do współmałżonka, który zawiódł nadzieje. Ale w momencie, gdy włączamy się do akcji, przyczyny te już wyblakły, nie mają większego znaczenia. I Kapitan i Alicja zaangażowali się tak bez reszty w grę, iż świat realny przestaje dla nich istnieć.

Ta nie kończąca się zabawa w teatr wymaga także widza. Dlatego kapitanostwo wciągają w swoją grę kuzyna Alicji Berta, który łatwowiernie przyjmuje wyznania małżonków, za dobrą monetę i próbuje w ich zagmatwanym świecie kierować się mieszczańskim rozsądkiem. Ponosi, oczywiście, sromotną klęskę i odchodzi sponiewierany.

Małżonkowie pozostają znów sami, skazani na siebie i na swój danse macabre. Może im to wystarcza, może są na swój sposób szczęśliwi? Nie. Oto zbliża się wielkimi krokami próba, wobec której nie można uciec w świat pozorów. Śmierć. To ona podsumuje i przedstawi żałosny rachunek egzystencji Alicji i Edgara.

O ile więc Strindberg dał w „Tańcu śmierci" tylko obraz piekła małżeńskiego, o tyle przedstawienie w Teatrze Powszechnym zamienia jego sztukę w moralitet, w ostrzeżenie przed przyjmowaniem pozorów życia ze samo życie. Taka postawa prowadzi nieuchronnie do przegranej.

Nowa interpretacja, „Tańca śmierci" zbliża problematykę sztuki do współczesności i wpisuje się tym samym w aktualną dyskusję filozoficzną o sensie istnienia człowieka. Już za to samo należy się reżyserowi uznanie.

Koncepcja reżyserska znalazła idealny wręcz rezonans w grze Jerzego Przybylskiego, którego rolę Kapitana uznać należy za wydarzenie artystyczne. Aktor nie oszczędza siebie, rzucając na szalę wszystkie dostępne środki, by stworzyć wielopłaszczyznową postać owego uczestnika komedii ludzkiej, by sięgnąć dna człowieczeństwa.

Na przedstawieniu premierowym sekundowała mu w roli Alicji — Hanna Bedryńska. (W chwili gdy piszę te słowa, nie oglądałem jeszcze, niestety, Jadwigi Siennickiej, która gra tę rolę na zmianę z Bedryńską). Aktorka wykazała dużą dojrzałość warsztatu i skupienie, jednak w kompromitowaniu postawy Alicji nie posunęła się tak daleko jak to zrobił Przybylski w stosunku do Kapitana. Osłabiło to nieco wymowę przedstawienia.

W roli Berta wystąpił Zbigniew Niewczas. Zagrał ją poprawnie, choć w cieniu wiodącego duetu aktorskiego.

„Taniec śmierci" należy do tych przedstawień łódzkich, które recenzent chciałby opatrzyć etykietą: „To trzeba zobaczyć".

WŁADYSŁAW ORŁOWSKI

Teatr Powszechny: August Strindberg „Taniec śmierci" (Dödsdansen), przekład i opracowanie tekstu — Władysław Krzemiński, reżyseria — Aleksander Strokowski, scenografia — Maria Horbaczewska.

TP OBIEKTYW

PATRZĄC NA „MAZEPĘ"

Felieton dzisiejszy nie będzie recenzją z telewizyjnego „Mazepy". Umieścić by go należało obok uwag o tym widowisku, w którym znakomici aktorzy — Holoubek, Świderski, Gogolewski, Śląska — wykazali, jak wiele da się wydobyć z wierszowanego dramatu Słowackiego. Tekst „Mazepy" wbrew tkwiącym w nim archaizmom językowym brzmiał niesłychanie współcześnie, a zapamiętałe szaleństwo Wojewody ocierało się wprost o sferę psychoanalizy.

Teatr TV od dłuższego czasu uznany został i ogłoszony wszem wobec jako szczytowe osiągnięcie Telewizji Polskiej, jako swoista specialite de la maison. Istotnie w niedługich stosunkowo dziejach naszej TV w sposób trwały zapisały się niektóre spektakle teatralne Hanuszkiewicza, Antczaka, Renégo. Do amatorskiego na poły chaosu, jaki panował w pierwszych programach telewizyjnych, ludzie teatru wnieśli dyscyplinę, określone nawyki warsztatowe i przywiązanie do poetyki sceny.

Korci mnie jednak, by zadać nie pierwszy już raz przewrotne pytanie: co będzie, gdy za lat, powiedzmy, piętnaście przekręcimy gałkę telewizora w poniedziałkowy wieczór? Czy nadal oglądać będziemy spektakle typu ostatnio zrealizowanego „Mazepy"? Czy nadal ludzie teatru gospodarzyć będą na antenie telewizyjnej stanowiąc elitę programową?

Przyznam się, że perspektywa taka niezbyt by mnie cieszyła. Teatr — wiadomo — rzecz piękna. Można mu użyczyć miejsca na małym ekranie, by mieszkańcy wsi koszalińskiej, czy rzeszowskiej mogli oglądać dramaty sceniczne w najlepszej krajowej obsadzie. W ten sposób dokonuje się swoistego wyrównywania poziomu kulturalnego w całym kraju.

Natomiast nigdy się nie zgodzę z mniemaniem, że ludzie przodujący w pięknej dziedzinie widowiskowej, jaką jest teatr, będą zawsze nadawać ton innej sztuce widowiskowej — telewizji. Historię teatru mierzy się w tysiące lat, zaś telewizja liczy sobie u nas lat kilkanaście. Nic dziwnego, że w początkowym okresie sięga po pomoc do sztuk pobrzeżnych. Ale czy tak ma być zawsze?

Wróćmy raz jeszcze do ostatniego spektaklu „Mazepy" w reżyserii Gustawa Holoubka. Zastanówmy się, ile w nim było teatru, a ile telewizji. Obrachunek wypadnie z pewnością na niekorzyść tej ostatniej.

Owszem, użycie kilku kamer pozwala patrzyć na aktorów z różnych na przemian stron. W teatrze zaś siedzimy w jednym miejscu i z niego niezmiennie obserwujemy widowisko. Kadry telewizyjne ograniczają zasięg naszego wzroku. To reżyser wybiera za nas wycinek akcji, któremu w danym momencie mamy się przyglądać. Zaś w teatrze możemy wodzić wzrokiem dowolnie po całej scenie, chyba że nakierowuje się nasz wzrok przy pomocy punktowych reflektorów. Ponadto miksaż telewizyjny pozwala w mgnieniu oka przenosić się z jednego miejsca akcji w inne, co w teatrze jest bardziej utrudnione.

Do tego sprowadzałyby się właściwie telewizyjne cechy widowiska typu „Mazepa". Prawda! Zapomniałem jeszcze o zbliżeniach twarzy aktorów, co w normalnym teatrze nie jest możliwe. Ale na tym naprawdę koniec! Reszta jest najnormalniejszym teatrem, korzystającym z gościny na małym ekranie. Gra aktorska ma wszelkie cechy gry scenicznej, scenografia też się niewiele różni od teatralnej, opracowanie tekstu jest czysto teatralne.

Jeżeli więc teatr jest gościem na małym ekranie, to czy on ma nadawać ton programowi TV? Któryż to z gości przestawia gospodarzom meble w domu i rządzi się apodyktycznie, narzucając im swój gust i swoje przyzwyczajenia?

Mam wrażenie, że pracownicy Naczelnej Redakcji Programów Artystycznych i Kulturalnych TV — a przynajmniej część z nich — mają zbyt wiernopoddańczy stosunek wobec ludzi teatru. Pozwalają im, oszołomieni sławą nazwisk, przestawiać sobie meble w domu. Tracą przy tym perspektywę rozwojową telewizji, której elementy nie tkwią w najlepszych nawet widowiskach typowo teatralnych.

Jeżeli nie teatr — spyta ktoś — to co? Film? Znowu chyba nie taki! Film, owszem, może wchodzić na ekrany telewizorów w dwojaki sposób. Albo jako „gość", w tym wypadku telewizja spełnia tylko rolę przekaźnika zastępującego (nie najlepiej) kino... Albo jako sposób rejestracji widowisk TV. Różnych: artystycznych, publicystycznych, popularnonaukowych itp.

Ale w tym drugim wypadku film musi się podporządkowywać specyfice telewizyjnej, musi wprząc się w różnorodność form programowych, oddać swoje walory techniczne i wyrazowe w służbę odmiennych metod nadawania, przekazu i odbioru, które składają się na odmienność telewizyjną.

Nie będę tu, oczywiście, bawił się w przepowiadanie kierunków, w jakich rozwinie się program telewizyjny. Z pewnością jednak najmłodsza Muza będzie się coraz bardziej emancypować, w coraz mniejszym stopniu naśladując swoje starsze siostry.

W.O.

O FILMACH DOBRZE i ŹLE

„GRINGO" I „ZAKOCHANA WIEDŹMA" — filmy w reżyserii Damiano Damianiego są wymownym przykładem umiejętności włoskiej kinematografii komercjalnej, która znakomicie dostosowuje się do wszelkich mód światowego rynku filmowego. Ta elastyczność programowa pozwala na równorzędną walkę z konkurencyjnymi kinematografiami, a zwłaszcza na zachowanie niezależności od Hollywoodu. Sukcesami kasowymi „spaghetti-westernów" (niebagatelną liczbę 150 już zrealizowano) i włoskich filmów grozy nie sposób oczywista mierzyć ich wartości artystycznych.

Western po włosku czyli jak mówię złośliwi „spaghetti-western" nawiązując do tematyki klasycznych, szlachetnych w swej rodzajowości amerykańskich opowieści z Dzikiego Zachodu, przetworzył ją w swym wydaniu na modłę najbardziej obsesyjnych sposobów i celów komercjalnej produkcji Zachodu. Nie sposób znaleźć w nich podział na bohaterów złych i tych dobrych, których działanie w klasycznym westernie określone jest jakąś racją wyższą — walką w imię prawa czy choćby dochodzeniem prawdy i sprawiedliwości w imię rozrachunku za krzywdę osobistą. Nie ma we włoskim westernie bohaterów walczących w imię idei, kowboje walczą, jak mówi tytuł jednego z filmów, „za garść dolarów". Kobieta będąca w klasycznym westernie aniołem, w najgorszym wypadku aniołem upadłym, tu służy jedynie wzmocnieniu scen przepojonych erotyzmem i sadyzmem. W czasach, gdy western amerykański obdarzamy często etykietą studium psychologicznego czy dramatu społeczno-obyczajowego, „spaghetti-western" wielbi zbrodnię i przemoc, lubuje się w okrucieństwie i sadyzmie, każe upajać oczy istną jatką, a jedynym miernikiem wartości czyni pieniądz, za którym gonią jego bohaterowie.

„Gringo" Damianiego wywodząc się z tego modelu westernu jest jednakże szlachetniejszą próbą sił i intencji reżysera. Pozostał Damiani wierny gustom widza poszukującego w kinie satysfakcji w scenach przepojonych okrucieństwem, toteż na nie lada sytuacje musimy być przygotowani. Strzelanina, trupy, zbrodnia, tortury, zdrady — słowem sadyzm i okrucieństwo budzące grozę i obrzydzenie królują w tym filmie, zwłaszcza w jego części pierwszej, po której naprawdę ma się ochotę wyjść z kina. Gdy to się przetrzyma, można stać się uczestnikiem zupełnie interesującego, nieszablonowego i dramatycznego konfliktu. Akcja filmu „Gringo" rozgrywa się w czasach rewolucji meksykańskiej i główny jej konflikt rozegra się między przywódcą bandy, a Amerykaninem, który przyłącza się do niej i pozyskuje przyjaźń szefa. Pełen dzikich instynktów, a przy tym i ludzkich, cieplych odruchów El Chuncho, bandzior-anal fabeta żyje z rewolucji, niewiele z niej rozumie, choć kocha ją na swój sposób. Gdy obok niego znajdzie się Gringo — cudzoziemiec, wniesie na ekran niepokój, tajemnicę, której rozwiązanie napełni przerażeniem. Prymitywny El Chuncho uratuje swą ludzką godność i choć nie uczyni to w pełni świadomie, dokona jakiegoś człowieczego rozrachunku z sobą samym. Gringo wykorzystujący dla osiągnięcia celu całą swą inteligencję i energię, działający do końca niby automat też zrzuci maskę, za którą nie znajdziemy jednak nic ludzkiego. Nie chcąc właściwie nic przypisywać intencjom reżysera nie sposób nie stwierdzić, że w tym całym nieprawdziwym filmie, w którym nawet kaktusy są sztuczne, jedna rzecz jest przerażliwie autentyczna — strzał, który pada z ręki najemnego mordercy.

W dyskusyjnym filmie Damianiego jeszcze jedna sprawa pozostaje bezsporna — znakomite role głównych bohaterów G. M. Volonte i Lou Castela.

Aktorstwo jest również dobrą stroną drugiego omawianego dziś filmu Damianiego „ZAKOCHANA WIEDŹMA" utrzymanego konsekwentnie w stylu filmów „horror". Trudno w „Zakochanej wiedźmie" dopatrzyć się ambicji, które na pewno towarzyszyły Damianiemu w realizacji „Gringa", niemniej amatorzy „bezpiecznego strachu", który przeżyć można tylko w sali kinowej nie mogą wiele zarzucić reżyserowi tego „horroru". Nie naśladował Damiani klasycznych filmów grozy w stylu „gotyckim" (jak na przykład oglądany u nas „Kruk" Cormana). Gotyckie zamczysko zamienił na opuszczony pałac w centrum Rzymu i akcję niesamowitych wydarzeń rozegrał współcześnie. Ten właśnie pałac ze swymi niesamowitymi wnętrzami tworzy głównie klimat napięcia, tajemnicy, grozy. Chyba zgodnie z zamiarem reżysera szybko rozszyfrowujemy tajemnicę mieszkanek tego pałacu, a interesuje nas głównie jak bohater filmu zdoła wyzwolić się z ich czaru. Toteż nie czyniłabym zarzutu ze zbyt wolnego tempa zdarzeń, gdyż tajemnica i pokonanie sił czarodziejskich nie jest, jak pouczają wszystkie baśnie, rzeczą zbyt łatwą. Choć dzieci również lubią być straszone przez wiedźmy, film ten jest jednak baśnią tylko dla dorosłych. Wiedźma w filmie Damianiego jest na tyle fascynująca, a Damiani na tyle zna swą publiczność, że poza baśniową aurą daje niezłą porcyjkę dość perwersyjnego erotyzmu, a tym samym zastrzega dla swego filmu pewną granicę wieku.

EWA NURCZYŃSKA

Kto, co, kiedy?

relacje

niedyskrecje

ŚMIERĆ HISZPAŃSKIEGO POETY

W Meksyku zmarł ostatnio 84-letni mało tłumaczony na obce języki, jeden z najwybitniejszych hiszpańskich poetów współczesnych, Leon Felipe.

Urodził się w 1884 r. w kastylijskiej wiosce. Karierę

zawodową zaczyna jako farmaceuta, później rzuca ten zawód i zostaje aktorem, członkiem teatru objazdowego, słynnego „La Barraca" prowadzonego przez Lorkę. W tym czasie Felipe pisze swoje pierwsze poematy. W roku 1922 wyjeżdża do Afryki, a stamtąd do Ameryki. Przez szereg lat przebywa w Meksyku, później w Stanach Zjednoczonych. Żeni się tam i utrzymuje z pracy pedagogicznej. W 1931 r. wraca do Hiszpanii, a po dwuletnim pobycie powraca do Stanów Zjednoczonych, potem jedzie do Meksyku, wreszcie do Panamy, gdzie pełni funkcję attaché kulturalnego Hiszpanii. W czasie wojny domowej znajduje się znów w Hiszpanii. Bierze żywy udział we wszystkich akcjach republikańskich intelektualistów. Na temat wojny domowej pisze kilka wielkich poematów. Po upadku Republiki udaje się na wychodźstwo do Meksyku, gdzie przebywa do końca swych dni.

DLA ŚCISŁOŚCI

W art. pt. „Proces" zamieszczonym w nr. 8 (590) „Odgłosów" pominięte zostało bez winy Autora, nazwisko obrońcy wielokrotnego zabójcy Stanisława Modzelewskiego. Jest nim mec. Juliusz Leszczyński.

WYROK W CIEKAWYM PROCESIE

W styczniu br. sąd w Reims po wielu odroczeniach, wydał wyrok w sprawie prawa publikacji pism poety Rogera Gilbert-Lecomte'a.

Roger Gilbert-Lecomte był młodym poetą, który wraz z Rene Daumal i Rogerem Vailland (wszyscy trzej pochodzili z Reims) stworzył w Paryżu grupę artystyczno-filozoficzną. Podczas okupacji Gilbert-Lecomte znalazł się w skrajnej nędzy. Później zaopiekowała się nim pani Firmat właścicielka hotelu, ale w 1943 r. Roger zmarł. U niej to pozostała gruba teczka rękopisów poety. Pani Firmat wręczyła pisma po zmarłym jednemu z przyjaciół Rogera. Wkrótce umiera ojciec poety, Edmond Lecomte, który mienie swe zapisał niejakiej pani Urbain.

Ta w 1955 r. przechodząc obok księgarni w Reims zauważyła w oknie wystawowym wydane u Gallimarda niektóre pisma Rogera. Zgłosiła natychmiast sprzeciw i ostro zaprotestowała przeciwko wydawaniu jakichkolwiek utworów zmarłego poety, ponieważ, jak twierdziła, jedynie ona jest prawną spadkobierczynią rękopisów. Stwierdziła ponadto, że Roger Gilbert-Lecomte nie był bynajmniej poetą lecz błaznem, który przynosił jedynie ujmę swej rodzinie.

Przyjaciele zmarłego poety przy współudziale tak wybitnych pisarzy jak Jean Paulhan, Francois Mauriac, André Billy i minister Malraux podjęli kroki sądowe przeciw pani Urbain. Sąd opariszy się na ustawie z dnia 11.III.1957 roku uznał, że pani Urbain nie ma prawa zakazu publikacji pism i listów zmarłego poety. Tak więc będą one mogły być w całości opublikowane.

W PIĘĆSETNĄ ROCZNICĘ URODZIN WIELKIEGO HUMANISTY

W roku bieżącym przewidziane są uroczyste obchody z okazji pięćsetlecia urodzin wielkiego humanisty holenderskiego, filologa, literata, tłumacza i pedagoga, Erazma z Rotterdamu.

Główne obchody odbędą się w Holandii, Belgii i we Francji.

„OTWARTA DŁOŃ" W CHANDIGARCH

Przy współpracy francusko-indyjskiej zostanie wzniesiony pomnik dla uczczenia pamięci Le Corbusiera w mieście Chandigarch w Indiach. Miasto to częściowo projektował Le Corbusier. On też narysował projekt monumentalnej rzeźby. Będzie to otwarta dłoń, wykonana z aluminium.

BARBARIN DE TARASCON

Sto lat temu, 9 grudnia 1869 r. czytelnicy dziennika „Petit Moniteur universel du soir" mogli przeczytać pierwszy odcinek nowej powieści Alfonsa Daudeta, której bohaterem był niejaki Barbarin. Ale człowiek noszący to nazwisko, stary towarzysz myśliwskich wypraw Daudeta obraził się, zgłosił stanowczy protest i zagroził sprawą są

Alphonse Daudet

dową. Daudet tłumaczył się, że wcale nie miał na myśli swego znajomego, ale wkrótce musiał ustąpić i już w styczniu 1870 r. powieść w odcinkach opowiadała o niezwykłych przygodach najsłynniejszego myśliwego polującego na lwy — Tartarena z Taraskonu.

JAK PATRZEĆ NA OBRAZY?

Jeżeli ktoś staje przed obrazem zadając jedynie pytanie: „Co to przedstawia?" a więc zachowując się jak ktoś kto porównuje fotografię z fotografowanym przedmiotem, nie „odczytuje" jeszcze dzieła sztuki. Na pytanie jak „odczytywać" dzieła sztuki starają się dać odpowiedź dwie książki, jakie ostatnio ukazały się w wydawnictwach paryskich.

Pierwsza to trzytomowa „kieszeniówka", będąca skrótem obszernego dzieła wydanego dziesięć lat temu. Książka ma

Czy patrząc na ten obraz Picassa umiemy go „odczytać"?

tytuł „Découverte de la peinture" (Odkrycie malarstwa), a jej autorem jest kustosz Akademii Sztuk Pięknych w Lozannie i wiceprzewodniczący Międzynarodowego Stowarzyszenia Krytyków Sztuki, René Berger. Autor zajmuje się metodą percepcji dzieł artystycznych. Wylicza dokładnie wszystkie możliwe czynniki składające się na strukturę obrazu. Omawia więc tworzywo, formę, linię, barwę, światło, przestrzeń itd. to jest te czynniki, które bezpośrednio oddziałują na nasze zmysły. Zależnie od danej epoki i cywilizacji zaznaczają się one w ten lub inny sposób w dziełach sztuki. Specjalną uwagę poświęca autor problemowi perspektywy, która przecież podlegała różnym koncepcjom (i tak np. w malarstwie egipskim czy indyjskim koncepcja ta bywała całkowicie różna niż np. w malarstwie Renesansu).

Druga książka pt. „Scénographie d'un tableau", jest dziełem Jean-Louis Schefera. Autor zajmuje się tu właściwie jednym tylko obrazem (chociaż książka liczy 204 strony) a mianowicie „Grą w szachy" namalowanym w XVI wieku przez Bordone'a. Schefer dokładnie analizuje scenerię obrazu, zwracając uwagę na kontrastowanie świateł i cieni, rozkład barw, elementów urbanistycznych i przyrodniczych.

Obraz Bordone'a przedstawia dwóch szachistów. W głębi widać z lewej strony obrazu kamienne wykładziny i kolumny, z prawej strony — łąkę i drzewa. Również na dalszym planie figuruje pies, dwa bażanty, dwie siedzące kobiety oraz grupa graczy w karty.

Autor książki „Scenografia obrazu" na podstawie analizy płótna Bordone'a wyciąga wnioski i uogólnienia z dziedziny estetyki. Istnieją dzicy — przypomina Schefer — którzy rozpalają ogniska gdy zapada zmrok, nie po to aby się ogrzać przy płomieniach, lecz żeby widzieć swe gesty. Bowiem język tych ludzi jest tak ubogi, że bez gestów nie mogliby się porozumiewać. Nasz język jest dostatecznie bogaty abyśmy się mogli obyć bez pomagania sobie gestykulacją, a jednak nieraz natykamy się na coś czego nie można wyrazić słowami. To właśnie należy do sztuki. A jak ją „odczytywać"? Na to pytanie starają się odpowiedzieć dwie wspomniane książki.

Od NIEDZIELI do NIEDZIELI

TRAKTAT O MOWIE CZYLI SPOKÓJ PRZEDE WSZYSTKIM

UPORĘCZOWIENIE JĘZYKA — KAJLA NA IBERLAUFIE — KTO ROZUMIE JOYCE'A? — BINARNA OPOZYCJA POLONISTÓW — ŻAL MI DZIECIAKA

Próbowałem kiedyś protestować na łamach pewnego pisma przeciwko bełkotliwym, niezgodnym z duchem języka określeniom, przeciwko wciskaniu się do polszczyzny słów — potworków. Ludzie gruntowniej niż ja uczeni w piśmie powiedzieli mi: „Nie wygłupiaj się — na całym świecie, we wszystkich językach istnieje tendencja do maksymalnej zwięzłości, do zastępowania wielu słów — jednym. Pomyśl o tym i nie protestuj przeciwko takim słowom jak — zadaszenie bloku, uharcerzowienie młodzieży, uporęczowienie klatki schodowej..." Pomyślałem ale niewiele pomogło i w dalszym ciągu wiele słów mi się nie podoba.

Pocieszam się tylko tym, że nie jest to problem ani nasz polski, ani nie zrodził go wiek dwudziesty. Uświadomienie sobie tego jest dla współczesnego człowieka niezwykle ważne — staje się bowiem swoistą tarczą, uczy filozoficznej zadumy i spokoju. Karkołomne nieraz niespodzianki i wolty języka zaczynamy przyjmować bez cienia emocji — ot, widać taka już uroda tej żywej przecież i wciąż zmieniającej się materii.

Tak być musi — żywy język przyjmujemy z dobrodziejstwem inwentarza, a więc i z błędami, z tym wszystkim co niesie życie. Wojujący gramatycy i puryści językowi stoją zawsze na straconych pozycjach. Kiedy cała Polska zaczyna jakieś słowo wymawiać błędnie — gramatycy szybciutko znajdują wyjście: „Obie formy są poprawne" — piszą w słownikach i rzecz cała z głowy. Powszechność wymowy wtedy syta i gramatyka historyczna — cała. Nieco gorsza jest sprawa hermetyczności języka niektórych grup zawodowych. Na tę przypadłość jak dotąd nie wynaleziono sposobu. Jedno co może na w tym wypadku radzić to łagodna pobłażliwość, filozoficzny spokój i poczucie humoru.

Irytuje nas hermetyczny język techników? Spokojna głowa — odkąd technika — prymitywna jeszcze — zaczęła wkraczać w nasze życie — problem ten narastał i wciąż narasta. Ot, przypomnijmy choćby nieśmiertelny tekst Juliana Tuwima sprzed kilku dziesięciu lat. Już wtedy mówiono: „z powodu kajli na iberlaufie, trychter robiony był na szoner a nie krajcowany i bez holajzy w żaden sposób nie można zakryptować lochbajtel w celu udychtowania pufra i dania mu szprajcy przez lochowanie sztendra aby roztrajbować ferszlus, który dlatego źle działa, że droselklapę tandetnie zablindowano i teraz ryk sztosuje..." A to po prostu zepsuł się kran w łazience.

Na pochyłe drzewo technicznego języka skaczemy zresztą często, zapominając, że to przecież humaniści zaczęli pierwsi. Nikt mnie nie przekona, że pisząc recenzję książkową trzeba używać do tego celu takich zdań: „dzisiejsza archetypizacja Odysa dokonuje się przez odhomeryzowanie postaci króla Itaki, przez ujęcie jej wyznaczone sugestiami humanizmu antropocentrycznego..." Tak piszą ludzie dorośli w „Nowych Książkach" — a za nimi młodzież polonistyczna w łódzkim „Biuletynie Filologicznym" upiera się, aby „debiutancki tomik rozpatrywać w binarnej opozycji do tendencji młodych formulistów".

No i masz babo placek. Rozpatrujl A coraz więcej ludzi przestaje to wszystko rozumieć.

Daleko nam jeszcze do szczytów wtajemniczenia. Pewien zasłużony tłumacz Joyce'a poinformował niedawno rodaków na łamach „Kultury", że „Ulisses" to pestka, że jest jeszcze genialniejsza książka tego pisarza, książka, której n i k t, absolutnie nikt nie rozumie, dla rozszyfrowania której powstają specjalne instytuty...

Tłumacz pisze nam, że dzieło to pisane było przy pomocy wszystkich żywych i martwych języków, że autor swobodnie i bez komentarza dysponuje strzępkami wszystkich sztuk i nauk, wierzeń religijnych i postaci mitologii nieklasycznej i klasycznej. Dzieło to — dowiadujemy się — nie tylko nie zostało przełożone na żaden język obcy, ale — uwaga, uwaga — „nie stworzono nawet jakiejkolwiek logicznej i trwałej teorii dotyczącej treści..."

Rozumiecie? Nie ma nawet teorii dotyczącej treści tej książki! — Już rzecz nie idzie o to o czym Joyce pisze, ale o teoretyczne przypuszczenie o czym ewentualnie mogłaby być ta książka, gdyby ją ktoś zrozumiał.

Być może jest to rzeczywiście dzieło genialne, jak zdaje się sugerować tłumacz — ale obawiam się, że ludzkość nie dowie się o tym. Po prostu dlatego, że ludzkości potrzebne są dzieła nieco mniej genialne, ale za to takie, które można przeczytać — i w jakimś stopniu zrozumieć. Myślę, że książki pisane w dwudziestu językach równocześnie, książki do których odczytywania trzeba powoływać naukowe instytuty, nie mają szans. A jeśli ktoś mi powie, że są to dzieła przyszłości — nie będę się spierał. Być może, ale daleko więcej interesują mnie językowe i lekturowe kłopoty moich współczesnych niż moje praprawnuka. Swoją drogą jednak, gdyby joyceowski „Finnegaus Wake" miał być jego lekturą do poduszki — to mi trochę żal dzieciaka.

Ale nie przejmujmy się zbytnio podobnymi dziełami, a ich obecność w kulturze — bo przecież obecność ta jest faktem — niech nas nastraja filozoficznie do figielków języka z jakimi przychodzi nam spotykać się na co dzień. Jeżeli natkniemy się gdzieś na hasełko agitujące na przykład za „zmniejszaniem poboru mocy w szczycie wieczornym" — nie irytujmy się, że bełkot, że należało napisać po prostu „oszczędza prąd". Policzmy do dziesięciu i uśmiechnijmy się — to hasło mogło przecież zostać napisane przy użyciu pięciu języków plus aluzje z mitologii lub wierzeń plemienia Minangkabau na Sumatrze...

JERZY WIDOK

Bez strachu

ZŁODZIEJE

Opowiedzieć swoje życie w kradzieży — życie okradanego i kradnącego — zapewne były już takie opowieści — dotyczyły jednak zwykle kradzieży pieniędzy, bielizny, dokumentów, kradzieży przedmiotów, kradzieży fizycznej i zawodowej. Są to dotkliwe i ciekawe sprawy, kto jednak podejmie się napisania książki o kradzieży słów, kradzieży pomysłów, kradzieży uczuć, kradzieży postaw, akcentu, barwy głosu. Tych codziennych drobnych niematerialnych kradzieży, w których zabierają okradanemu nie jego gotówkę lecz jego psychikę — niewidzialną żyletką odcinają mu w toku piaty jego osobowości, aby dokleić je do własnej ubogiej jaźni kradnącego, lub aby sprzedać je duchowemu paserowi. Co do mnie często bywałem tak okradany, często odnajdywałem własny gest z finezją wypracowany, potem ukradziony mi przez złodzieja i odprzedany komuś kto własnych gestów nie miał, lub komuś kto handlował ukradzionymi gestami. Kradzieże te nie są karane przez prawo — jedyną możliwą karą jest tu uczucie wstydu — jednak wywołanie tego uczucia musi być poprzedzone dowodem kradzieży, a przeprowadzenie dowodu jest tu prawie niemożliwe — wymaga bowiem aktywnego współudziału złodzieja, musi to być zatem złodziej zupełnie cyniczny, bądź zupełnie skruszony, ponadto złodziej inteligentny i obdarzony dobrą pamięcią. Pozbawiony zatem możliwości odzyskania ukradzionych mi myśli, uczuć, słów, gestów, poruszam się bezbronny i ustawicznie okradany, brak mi bowiem zamków i kluczy. Można mnie kraść garściami. Wracam do domu i siedzę nieruchomo, a tam gdzieś w obcym mieszkaniu obcy człowiek czyni przed narzeczoną, babcią czy ciocią moje ruchy i gesty. Zubożony milczę, a on moim głosem wypowiada moje słowa, doznaje moich uczuć i wyraża je moimi sposobami. Czy w tej sytuacji trudno się dziwić, że niekiedy zostaje mnie tak mało, że potrafię tylko siedzieć nieruchomo, z twarzą ukrytą w dłoniach — to resztka człowieka — okradziono mnie i nigdy nie potrafię siebie odebrać. Cóż z tego, że wejdę po dziesięciu latach do obcego domu i w twarzy gospodarza odnajdę nieprzetworzoną cząstkę samego siebie? Gdyby to, co niegdyś mi ukradł zostało we mnie, byłoby dzisiaj czymś innym, tysiąckrotnie rozrośniętym przetworzonym, u złodzieja zostało skamieniałym bezużytecznym skrawkiem. Piszę o sobie jako o ustawicznie okradanym, a przecież i ja kradnę i ja prawie wiem o tym i ja prawie pamiętam. Żyją we mnie, a raczej martwieją we mnie i w mojej powierzchni ukradzione innym skamieliny. Niekiedy pragnę je z siebie wyrwać, ale boję się uszkodzić żywą substancję, z którą zdążyły się zrosnąć. Przeciwieństwem kradnących i okradanych są darujący i otrzymujący dary. Dar bowiem jest żywy, rośnie w obdarowanym, a wręczanie daru nie jest ubytkiem lecz pomnażaniem samego siebie i innych. Chętnie bywam ofiarodawcą i chętnie otrzymuję podarunki. To co otrzymałem żyje we mnie, to co ukradłem martwieje — we mnie i w tych wszystkich, których obserwowałem.

BERNARD SZTAJNERT

A. H. Z. CARR

Gdy człowiek spotyka człowieka

Strażnik otworzył drzwi celi i powiedział: „Wizyta" Na to krótkie słowo dziewczyna podniosła się z pryczy, wygładziła czarny kostium, który nie został jeszcze wymieniony na zwykłe więzienne ubranie. Spytała — czy to mój adwokat? Pan de Groot?

— Nie wiem — odpowiedział strażnik. — Tędy.

Poprowadził ją długim korytarzem i oddał w ręce innego strażnika. Ale gość nie był oczekiwanym adwokatem. Był to młody, przystojny aktor Mount, z którym spędziła kilka godzin po przedzających tragedię.

Nie miała ochoty go widzieć, nie chciała z nim rozmawiać, ani słuchać słodkich słów pocieszenia. Odmówiła też propozycji aby przed sądem bronić się chwilowym zaburzeniem umysłowym.

— Beth — mówił Mount proszącym głosem. — Zrobię dla ciebie wszystko, co tylko możliwe. Wiesz, że mam różne stosunki.

— To byłoby dla ciebie bardzo dogodne — odparła z rozgoryczeniem. — Nie musiałbyś w ogóle zeznawać w sądzie Żadnego skandalu, twoja reputacja nie tknięta. A ja spędziłabym kilka lat w szpitalu dla umysłowo chorych! Bardzo jesteś pomocny Nie, nie uda ci się to, nie przyznam się do winy.

Zdumiał się: — Przecież już się przyznałaś.

Przymknęła na chwilę oczy: — Nie mogę dłużej z tobą rozmawiać, Piotrze. Proszę, idź już stąd.

W drzwiach ukazał się strażnik.

— Ależ ruch tu dzisiaj. Tym razem adwokat, pan de Groot.

Wysoki, może trzydziestoletni mężczyzna ciekawym wzrokiem obrzucił Mounta w chwili, gdy mijali się w drzwiach.

— Jak pani to wytrzymuje? — spytał swą klientkę.

— Zupełnie dobrze — odpowiedziała pani Harrison.

Adwokat przyjrzał się jej badawczo Duże usta, oczy, podkrążone od bezsenności, bladość twarzy podkreślały jej kobiecość. De Groot myślał, że miałaby niejakie szanse, gdyby stanęła przed ławą przysięgłych, składającą się z samych mężczyzn.

— Proszę pani — powiedział — nie wiem, czy pani zasługuje na współczucie, więc nie mogę go ofiarować. Przejdziemy od razu do spraw zasadniczych. Dlaczego z 10 tysięcy prawników praktykujących w naszym mieście, wybrała pani akurat mnie?

— Wydało mi się naturalne, aby zwrócić się do firmy Johna. Wyrażał się o panu zawsze z wielkim szacunkiem.

— Proszę pani, jest pani oskarżona o zamordowanie męża. Twierdzi pani, że jest niewinna. Lecz jeżeli dzisiejsze gazety mówią choćby częściowo prawdę, dowody przeciw pani są nie do obalenia. Czy pomyślała pani o tym, że jeżeli któryś ze współpracowników pani męża stanie w pani obronie, będzie to dowodem, że jesteśmy przekonani o pani niewinności?

— Nie pomyślałam o tym — odparła marszcząc brwi.

— Nie? Mimo to nasza firma nie może zająć się tą sprawą, jeżeli nie będziemy pewni, że bronimy niewinnej osoby. Moją radą jest, aby pani wybrała innego adwokata — takiego, który nie był w kontakcie ani z Johnem, ani z panią.

— To nie chce mnie pan bronić? — spytała cicho.

— Tego nie powiedziałem. Przyszedłem tutaj z poczucia obowiązku wobec Johna. Czuję się w pewnym stopniu winny. Wczoraj w biurze musiałem przeprowadzić z nim bardzo ostrą rozmowę. Był potem ogromnie przybity, dlatego pomyślałem, że może popełnił samobójstwo. Kiedy pani zatelefonowała i powiedziała, że panią aresztują wydawało mi się, że muszę stanąć w pani obronie. Lecz obecnie sprawa przedstawia się inaczej. Wobec tego wszystkiego, co słyszałem, nie mogę być ani pani obrońcą, ani nawet przyjacielem. Jeśli pani chce opowiedzieć mi, jak to wygląda według pani mniemania — wysłucham uważnie. Jeżeli będę nadal uważał panią za winną — nie przyjmę roli obrońcy. Szczerze mówiąc uważam, że lepiej by pani zrobiła wybierając kogoś innego.

— Chciałabym panu opowiedzieć, jak to było.

— Dobrze — wzruszył ramionami. — Muszę panią jednak uprzedzić, że telefonował do mnie prokurator. Jest bardzo pewny siebie. Mówi, że kazał panią wczoraj zbadać, aby sprawdzić, czy John pani nie uderzył i że sama pani stwierdziła, że nic podobnego nie miało miejsca. Prokurator nie dopuści więc do tego, aby pani broniła się, iż działała w samoobronie. Nie zgodzi się też na tezę zabójstwa z przypadku. Z rewolweru wystrzelono dwa razy.

— Dwa razy! — była zdumiona.

— Nie wiedziała pani o tym — powiedział de Groot sceptycznie. — Kula, od której zginął John znajdowała się w jego czaszce. Druga natomiast rozbiła duże lustro stojące w pokoju.

— Nie rozumiem tego!

— Ale każdy sędzia to zrozumie — odrzekł de Groot.

— Strzał, który rozbił lustro, był może przypadkowy, lecz aby dwa strzały miały być przypadkowe — to przekracza wszystkie możliwości. Zwłaszcza, że drugi strzał był oddany z tak bliskiej odległości, że ślady prochu widniały na czole Johna.

De Groot ciągnął dalej.

— Muszę mówić wszystko otwarcie, bo inaczej w ogóle do niczego nie dojdziemy. Prokurator jest zdania, że doskonale zdawała pani sobie sprawę z tego, co pani robi. On myśli, że po zamordowaniu Johna popadła pani w przerażenie, zadzwoniła na policję, złożyła pełne zeznanie. Potem opanowało panią uczucie strachu i próbowała się pani wycofać ze wszystkiego. Gotów jest zgodzić się na chwilową utratę zmysłów.

— Pan także? — roześmiała się gorzko. — Na to samo chciał mnie namówić Piotr Mount.

— No, pani Harrison, widocznie ktoś pociąga za właściwe sznurki. To nie najgorsze rozwiązanie. Jeżeli się pani na to nie zgodzi, to prokurator zażąda dożywocia, a może nawet kary śmierci.

— Nie przyznam się do winy, której nie popełniłam Nie zabiłam Johna. Nie zabiłam go. Zabił się sam!

— I pani się spodziewa, że ktoś w to uwierzy? Jeżeli sam się zabił, to skąd dwa strzały? A odciski pani palców na rewolwerze? A ślady prochu na pani ręku? A pani przyznanie się do winy? Wszystko spisane jest przez policję. — Głos kobiety był niemal tylko krzykiem. — Zabiłam męża. Zastrzeliłam go. — Zanim przerwano połączenie policja zdołała ustalić skąd pochodziło. Jednakże w chwili aresztowania pani Harrison twierdziła, że w ogóle nie telefonowała i że w chwili morderstwa była na spacerze — zakończył de Groot surowym głosem. — No i co ma pani do powiedzenia?

— Powiedzieli mi — odpowiedziała zmęczonym głosem — że przyznałam się do winy. Ale tak nie było. Nigdy się do tego nie przyznałam.

— Czy pani chce powiedzieć, że policja to sobie wymyśliła?

— Nie...

— Czy pani myśli, że dzwonił ktoś inny, kto chciał panią wrobić w to morderstwo?

— Nie wiem kto mógł wiedzieć, że John nie żyje. Ja usłyszałam strzał w chwili, gdy otwierałam frontowe drzwi, a w domu przecież nikogo prócz Johna nie było. Nie mogłam powiedzieć, że zabiłam Johna, gdyż ja go nie zabiłam. Gdy weszłam do sypialni już nie żył, siedział pochylony w fotelu. Rewolwer miał jeszcze w ręku. Musiałam potem zemdleć ... Kiedy zemdlałam, musiałam oprzeć się o fotel i jego ciało osunęło się na podłogę. Dywan był zalany krwią. Wtedy zaczęłam krzyczeć.

— A gdzie był rewolwer?

— Widocznie go podniosłam. Wiem, że miałam go w ręku i położyłam na stole. Ale to wszystko było zupełnie nierealne, jak koszmar. Nic więcej nie pamiętam. Potem przyszła policja.

— Czy rewolwer mógł wystrzelić przypadkowo gdy go pani podnosiła?

— Nie, chyba nie. Pamiętałabym, gdyby wystrzelił.

De Groot gwizdnął. — Spróbujmy z innej beczki. Ten pani spacer. Czy była pani sama?

— Tak.

— Czy to się często zdarza, aby pani spacerowała sama po nocy.

— Nie. Ale akurat miałam ochotę przejść się. Nie spotkałam nikogo. Noc była bardzo ciemna.

— Pani Harrison — powiedział de Groot. — Tylko jedno podoba mi się w tym wszystkim. Wydaje się pani osobą bardzo inteligentną. A trudno uwierzyć, aby inteligentna osoba wymyśliła tak bzdurną historię.

— Dziękuję i za to — uśmiechnęła się blado.

— Ale to nie wywrze żadnego wrażenia na ławie przysięgłych. Przyznanie się do winy, ślady palców — to wystarczy, aby panią skazać. Czy zdaje pani sobie z tego sprawę? Pani opowieść nie zgadza się z informacjami, które posiada policja. Mówi pani o tym niezwykłym nocnym spacerze. Wraca pani do domu. Słyszy pani strzał. Wbiega pani do pokoju. John już nie żyje. A pani mdleje. Rewolwer jest w jego ręku. No załóżmy na chwilę, że pani mówi prawdę. I co wynika z pani opowiadania? Dlaczego powiedziała pani te straszne słowa „zamordowałam go". Jak mogła pani to powiedzieć, jeżeli pani tego nie zrobiła? Zaraz, zaraz... Widzę tylko jedną możliwość. Widok Johna z przestrzeloną głową wpędza panią w szok, w chwilową amnezję. Gdy pani dzwoni po policję jest pani w stanie szoku. Czynności pani są mechaniczne. Co odczuwa dobra żona widząc, że mąż popełnił samobójstwo? Przerażenie i smutek, to oczywiste. Ale także pewne poczucie winy, że w jakiś sposób go zawiodła. I to poczucie winy pchnęło panią do przyznania się do morderstwa.

Wezwawszy policję popada pani w omdlenie. Padając opiera się pani o fotel, z którego zsuwa się ciało Johna. Teraz oboje leżycie na podłodze, on martwy, pani zemdlona. Wreszcie odzyskuje pani przytomność, widzi obok siebie ciało Johna. Zaczyna pani krzyczeć. Rewolwer leży na podłodze. Pani go podnosi i przypadkowo oddaje strzał. Kula trafia w lustro. To jest ten drugi strzał. Kładzie pani rewolwer na stole — i wtedy zjawia się policja. Ale teraz zawodzi panią pamięć — wie pani tylko, że John nie żyje.

— Czy pan rzeczywiście myśli, że tak się to odbyło?

— Wolałbym nie przekonywać o tym ławy przysięgłych — uśmiechnął się smutno? — Przede wszystkim mężczyźni rzadko popełniają samobójstwo strzelając sobie w środek czoła. Nie, jeżeli to ma być pani najlepsza linia obrony, będzie pani siedziała dożywotnie w więzieniu.

(dokończenie w następnym numerze)

Lewym okiem

ZWÓJ NA POWIERZCHNI OTWORU:

Jeśli na pytanie: co to jest tramwaj? — odpowiemy: środek komunikacji — będzie to odpowiedź prawdziwa. Jeśli na pytanie: co to jest rower? — odpowiemy: środek komunikacji — będzie to również odpowiedź prawdziwa. Ale te dwie prawdziwe odpowiedzi nie znaczą przecież, że rower i tramwaj to jedno i to samo. Po prostu odpowiedzi te zawierają informację niepełną, czyli zawierają niecałą prawdę. Są zatem informacjami zwodnymi.

Powiedzmy, że uczeń szkoły ogólnokształcącej, albo pracownik służby zbytu i zaopatrzenia, albo pracownik administracyjny budownictwa, albo mistrz jednego z zawodów, albo wreszcie dziennikarz i publicysta chce się dowiedzieć, co to takiego WAT. Pojęcie jakieś takie techniczne, cóż więc można zrobić lepszego, jak nie sięgnąć po Ilustrowany Słownik Techniczny dla Wszystkich, przeznaczony właśnie „w pierwszej kolejności", dla wyżej wymienionych grup obywateli?

„Wat — jednostka mocy, równa pracy jednego dżula wykonanej w ciągu jednej sekundy". Coś zaczyna świtać, ale napotykamy znów coś nowego, dżul. Cóż to jest dżul? Szukamy w tymże słowniku pod d: „Dżul — jednostka pracy". I już wiemy, że wat jest to moc, równa pracy jednej jednostki pracy, wykonanej w ciągu jednej sekundy. Jakiej jednostki pracy? Zwanej dżulem. A co to dżul? — I tak w kółko. Słownik wyjaśnił bowiem wata, a nie wyjaśnił dżula, tyle że jego pojęcie zaszeregował do jakiejś kategorii pojęć. „Tramwaj — środek komunikacji". „Dżul — jednostka pracy". Erg to też jednostka pracy. Czym się różni tramwaj od roweru, a dżul od erga? Jeśli się tego nie powie, to nic się nie powiedziało.

Zajrzyjmy pod hasło: „Natężenie prądu elektrycznego". Ilustrowany Słownik Techniczny dla Wszystkich wyjaśnia uprzejmie: „Ilość elektryczności przepływająca w jednostce czasu przez przewodnik; jednostką natężenia prądu jest amper". Sprawdzamy pod a — i rzeczywiście: „Amper — jednostka natężenia prądu elektrycznego". To tak, jakby ktoś powiedział, że czas mierzy się dniami, a dzień to miara czasu. Wszystko to prawda, tylko że nadal nic nie wiadomo ani o pojęciu czasu, ani o pojęciu dnia. Przy słowie „angstrem" można było analogicznie powiedzieć, że jest to miara długości. W tym miejscu słownik jest uprzejmiejszy i dodaje, że to miara długości, równa jednej dziesięciomilionowej milimetra. Bardzo krótka, a wystarczy. Inaczej przy dynie: „Dyna — jednostka siły". Kropka. Czemu ta jednostka jest równa — a, to już trzeba sięgać po Małą Encyklopedię Powszechną, albo po Małą Encyklopedię Przyrodniczą, które — choć obejmujące znacznie obszerniejsze zakresy wiedzy, niemal uniwersalne, a przeznaczone też bynajmniej nie dla wybitnych specjalistów — znalazły przecież miejsce i sposób na wyjaśnienie dyny, dżula i ampera. Otwieramy na chybił — trafił literę g. „Gwintowanie — wykonywanie gwintu". Słusznie. Tak słusznie, że aż truistycznie. A co to takiego gwint? „Gwint — ukształtowany na powierzchni trzpienia lub otworu zwój posiadający określony, stały na całej długości zarys oraz stały skok". Czyli gwintowanie jest to wykonywanie na powierzchni trzpienia zwoju o stałym zarysie i stałym skoku. Pewnie to prawda, chociaż osobiście, bez sięgania po Ilustrowany Słownik Techniczny, wiem skądinąd, co to jest gwint, a nigdy by mi do głowy nie przyszło, że to ukształtowany zwój na powierzchni otworu. O wiele bardziej odpowiada mi znowu wyjaśnienie Małej Encyklopedii Powszechnej — kto ciekawy, niech sprawdzi.

Lakoniczny aż do sknerstwa w wyjaśnieniu niektórych haseł, II. Słownik Techniczny bywa niekiedy i rozrzutny. Oto „jucht" mamy wyjaśniony raz pod j, a oprócz tego jeszcze raz pod s: „skóra juchtowa". I to nie całkiem jednakowo: „Jucht" — to „skóra średniomiękka, wykańczana od strony lica lub mizdry", „skóra juchtowa" — to „skóra miękka, bydlęca, mocno natłuszczona, wyprawy roślinnej lub roślinno — syntanowej, używana od strony lica". „Bukat" podano już tylko pod b, a „nubuk" pod n — nie ma w słowniku „skóry bukatowej" ani „skóry nubukowej". Welur za to jest tylko pod s: „skóra welurowa", blank pod „skórą blankową" i tak dalej. Nie wiem, dlaczego.

Pewnie, że to jest czepianie się. Felieton ma już taką naturę i nie można go się za to czepianie czepiać. Autorzy Słownika uprzedzili nas zresztą w przedmowie, że (str. 7), „hasła podane w słowniku nie zawierają w objaśnieniach jednakowej dozy informacji. Jest to uzależnione w dużej mierze od... (między innymi) indywidualnej oceny potrzeby obszerności objaśnienia". Rozumiem więc, że autor opracowujący dane hasło, indywidualnie oceniał, czy warto je objaśnić troszkę, czy obszerniej. Jeśli takie było założenie programowe, to chapeau bas — wszystko w porządku. —

ĆWIEK

Redaguje zespół: Jan Koprowski (red. naczelny), Karol Badziak, Halina Bekowa (red. techn.), Konrad Frejdlich, Andrzej Makowiecki, Jerzy Wilmański Teresa Wojciechowska. Wydawca — Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa" w Łodzi. Adres redakcji: Łódź, ul. Piotrkowska 96. Tel. 244-79. Warunki prenumeraty: miesięcznie 6 zł, kwartalnie 18 zł. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem na „Odgłosy". Druk Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa" Łódź, ul. Żwirki 17. Zam. 349 II. B-4